

ISSN 0867-8952

NR 2(290) LUTY 2015

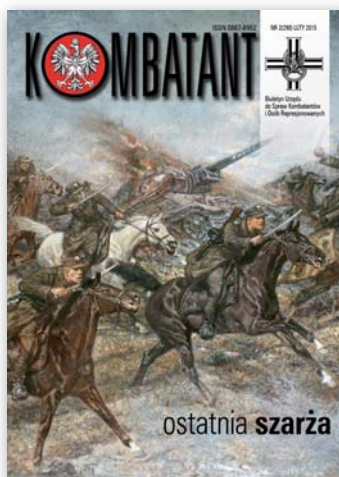
KOMBATANT



Biuletyn Urzędu
do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych



ostatnia **szarża**



Obraz Michała Byliny „Ostatnia szarża kawalerii polskiej” ze zbiorów MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO W WARSZAWIE

BIULETYN URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW I OSÓB REPRESJONOWANYCH

Redakcja

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
e-mail: kombatant@udskior.gov.pl

redaktor naczelny: Piotr Sulek

tel. (22) 661 89 22
e-mail: piotr.sulek@udskior.gov.pl

Katarzyna Zientara-Majewski

tel. (22) 661 84 23
e-mail: katarzyna.zientara@udskior.gov.pl

Współpracują:

Franciszka Gryko, Jan P. Sobolewski,
współpraca fotoreporterska: Alina Nowacka

Redakcja tekstów: Wojciech Lewicki

Korekta: Dariusz Saracyn

Archiwalne numery „Kombatanta”

dostępne są na stronie www.udskior.gov.pl



Partnerem Projektu
jest Narodowe Archiwum
Cyfrowe

Wydawca:

Urząd do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
centrala tel. (22) 661 81 11
punkt informacyjny tel. (22) 661 81 29
(22) 661 87 06, www.udskior.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Druk: TOPDRUK Sp. z o.o.

ul. Nowogrodzka 151a, 18-400 Łomża

Nakład: 4200 egz.



w numerze

- 3 Słowo honoru po sowiecku**
Katarzyna Zientara-Majewski
- 8 Umierali z głodu, zimna i wyczerpania**
Norbert Nowotnik
- 10 „Dzieje rodziny Korzeniewskich”**
Melchior Wańkowicz
- 15 Straceńcza ucieczka skazanych na stracenie**
Maciej Gelberg
- 19 Wierni uhlani**
Wojciech Lewicki
- 24 Ostatnia szarża polskiej kawalerii**
Waldemar Kowalski
- 28 PPS – peem dla zwiadowców**
Wojciech Weiler
- 31 Spotkanie przy ognisku**
Ryszard Lange

W nocy z 18 na 19 lutego 1945 r. z cieszącego się ponurą sławą Zamku Lubelskiego, zbiegło 11 skazanych na śmierć żołnierzy AK. Przyłączyli się do nich pomagający w akcji strażnicy. Ucieczka odbiła się szerokim echem – nie tylko wśród polskich władz komunistycznych. To była jedna z najbardziej brawurowych ucieczek więźniów w okresie stalinowskim.



Od XV w. Tatarzy tworzyli własne oddziały w ramach wojsk Rzeczypospolitej (najpierw Obojga Narodów, później już tylko polskich). Przez 600 lat zawsze stawali do walki, gdy tylko nowa ojczyzna była w potrzebie. Ich szable szczybiły się na Krzyżakach, Szwedach, Turkach, pobratymcach ze Złotej Ordy, Moskalach czy Niemcach. Choć nieliczni, byli jedyną mniejszością narodową, która pod własnym sztandarem (w tym przypadku buńczukiem) broniła granic Rzeczypospolitej.

K O L P O R T A Ż

Kolportaż: Tomasz Nejmanowski,
tomasz.nejmanowski@udskior.gov.pl, tel. (22) 661 86 67

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania zmian i skrótów w nadsyłanych materiałach. Materiały powinny być podpisane pełnym imieniem i nazwiskiem autora tekstu i zdjęcia oraz zawierać jego prywatny adres i telefon kontaktowy, a także krótką notkę o autorze tekstu. W miarę możliwości prosimy o dostarczanie tekstów i materiałów graficznych (zdjęcia o rozdzielczości 300 dpi) w wersji elektronicznej (na CD lub pocztą elektroniczną). Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Rubryka *Poszukujemy* jest bezpłatna.



KATARZYNA ZIENTARA-MAJEWSKI

SŁOWO HONORU PO SOWIECKU

Z początkiem 1945 r. front przesunął się poza linię Wisły. Dla AK oznaczało to koniec walk z Niemcami – jednak dalsze trwanie w konspiracji stawało się coraz trudniejsze. Polskie podziemie było silnie spenetrowane przez NKWD, a dekonspiracja stała się kwestią czasu.

Postanowienia konferencji w Jałcie były nie do zaakceptowania przez legalny, polski rząd w Londynie i zostały przez niego odrzucone. Tymczasem działająca w kraju Rada Jedności Narodowej, nie widząc innej szansy na uniknięcie dalszego wyniszczania narodu – mimo że również nie akceptowała decyzji „wielkiej trójki”, już w lutym 1945 r. zadeklarowała gotowość przystąpienia do rokowań w sprawie utworzenia nowego rządu. Ujawnienie się zapewniało też możliwość wznowienia legalnej działalności dotychczasowych partii politycznych, choć komuniści rozpoczęli już akcję (zresztą

nieudaną) ich reaktywacji pod własnym kierownictwem.

Zaproszenie

Akcją mającą na celu ujęcie szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, dowodził gen. NKWD, Iwan Sierow.

Na początku marca 1945 r. gen. Leopold Okulicki otrzymał list od płk. Pimienowa, zapraszający go na rozmowy z gen. Iwanowem. Nie było to zaskoczeniem, bowiem zarówno ostatni komendant AK, jak i delegat rządu – Jan Stanisław Janowski – już wcześniej spotykali się z ustnymi zaproszeniami na spotka-

nie z przedstawicielami dowództwa Pierwszego Frontu Białoruskiego.

Choć gen. Okulicki nie chciał się ujawniać, podjął jednak pierwsze rozmowy z Sowiecami przez pośredników. Do przeprowadzenia wstępnych negocjacji wytypowano Józefa Stemlera-Dąbskiego. Łącznikiem strony rosyjskiej był Chodkiewicz, starszy człowiek, słabo mówiący po polsku. Sierow żądał ujawnienia się sztabu Armii Krajowej, natomiast Okulicki chciał, by z obozów zwolniono jego żołnierzy i zaprzestano wobec nich represji.

Równoległe kontakty z Sowietami nawiązała Delegatura Rządu. I to właśnie po tej – cywilnej – linii doszło do pierwszych rozmów „na wysokim szczeblu”. Jan Stanisław Janowski 17 marca 1945 r. spotkał się z płk. Pimienowem, który żądał

ujawnienia się wszystkich stronnictw oraz, a może przede wszystkim – spotkania z gen. Okulickim. Wówczas Jankowski poprosił o możliwość konsultacji z rządem w Londynie, a także zaproponował zorganizowanie rozmów z przedstawicielami wszystkich partii, do których zresztą niebawem doszło – 18 marca prowadzili je przedstawiciele Stronnictwa Ludowego, a dwa dni później Stronnictwa Pracy i Stronnictwa Narodowego.

Ponownie Jankowski spotkał się z Sowietami 21 marca 1945 r. Ustalono wówczas datę (27 i 28 marca) i miejsce (willa przy ul. Pęcińskiej 3 w Pruszkowie) zasadniczych rozmów, w których oprócz komendanta AK mieli wziąć udział przedstawiciele Delegatury Rządu oraz głównych stronnictw politycznych. Polska delegacja miała mieć możliwość konsultacji z Londynem, a o jej bezpieczeństwie – słowem honoru sowieckiego oficera – zaręczał płk Pimienow, pełnomocnik gen. Sierowa. Nikt z zaproszonych nie miał do niego zaufania. Trzeba było podjąć ryzyko, mimo że działacze Stronnictwa Ludowego otrzymali list ostrzegający przed możliwością zasadzki ze strony NKWD.

I tak 27 marca 1945 r. na rozmowy z Rosjanami w Pruszkowie udali się Leopold Okulicki, Jan S. Jankowski, Kazimierz Pużak i Józef Stemler-Dąbski. Reszta delegatów przybyła na rozmowy następnego dnia. Wszystkich aresztowano i drogą lotniczą przetransportowano do Moskwy, gdzie zostali osadzeni w więzieniu na Łubiance.

W rękach sowieckich znaleźli się: gen. Leopold Okulicki, Kazimierz Pużak, Józef Stemler-Dąbski, Antoni Pajdak, Jan S. Jankowski, Stanisław Jasiukowicz, Kazimierz Kobylański, Zbigniew Stypułkowski, Aleksander Zwierzyński, Józef Chaciński, Franciszek Urbański, Adam Bień, Kazimierz Bagiński i Stanisław Mierzwa oraz Eugeniusz Czarnowski i Stanisław Michałowski.

Poszukiwania

Pierwszą depeszę informującą o zaginięciu „szesnastu” wysłał 31 marca 1945 r. Stefan Korboński. Jej tekst z prośbą o interwencję został przekazany w trybie natychmiastowym przez ambasadora Raczyńskiego brytyjskiemu ministrowi Anthony’emu Edenowi. Rozpoczęły się dramatyczne poszukiwania zaginionych i próby ustalenia ich losu. Ambasador Archibald Clark-Kerr 4 kwietnia oficjalnie wystąpił do Wiaczesława Mołotowa z pytaniem o losy polskiej delegacji. Nie uży-

skiej ONZ w San Francisco, Mołotow poinformował ambasadora Kerra, że Polacy znajdujący się w moskiewskim więzieniu oskarżeni o akty dywersji na tyłach Armii Czerwonej.

Fakt ten ujawniony podczas trwającej konferencji – zwiększał jej międzynarodowy wydźwięk. Po raz kolejny Rosjanie zademonstrowali, że będą „grać” metodą faktów dokonanych, nie pytając nikogo o zgodę. Stalin stwierdził, że akty dywersji dokonane na rozkaz gen. Okulickiego pochłonęły życie więcej niż 100 żołnierzy Armii Czerwonej. Zaprze-



Przywódcy podziemnych władz Rzeczypospolitej Polskiej zaproszeni na rozmowy z władzami sowieckimi przybyli do tego domu w dniach 27–28 marca 1945. Stąd zostali podstępnie uprowadzeni przez NKWD do Moskwy. FOT. PIOTR SULEK / UDSKOR

skął żadnej odpowiedzi. Ponowił pytanie 5 dni później. Dopiero 11 kwietnia minister spraw zagranicznych ZSRS poinformował, że sowieckie władze wojskowe nie zostały upoważnione do prowadzenia jakichkolwiek rozmów z przedstawicielami rządu polskiego w Londynie. Twierdził, że nic nie wie. Proszono również o pomoc Amerykanów. Jan Ciechanowski, ambasador RP w Waszyngtonie, zwrócił się do rządu USA z prośbą o interwencję.

Sprawa ostatecznie wyjaśniła się dopiero 3 maja. Podczas obiadu u sekretarza stanu, Edwarda Stettiniusa, w trakcie konferencji założyciel-

czył też, by aresztowani Polacy byli przez Rosjan zaproszeni do rozmów, a władze sowieckie nie traktują osób łamiących prawo jako partnerów do rozmów. Oświadczenie w sprawie polskiej delegacji wydał również rząd Edwarda Osóbki-Morawskiego, oskarżając gen. Okulickiego i „jego współników” o działanie przeciwko istnieniu odrodzonej Polski.

Polskie władze w Londynie nie ustawały w wysiłkach i w każdy możliwy sposób starały się zwrócić uwagę Brytyjczyków i Amerykanów na sprawę „szesnastu” oraz odwołać się do ich sumienia. Ostatni apel do Harry’ego Trumana i Winstona Chur-

Ziemię Polski i Dziennik Żołnierza

THE POLISH DAILY & SOLDIERS' JOURNAL. 2062 JUNE, 1945. Rok 2, Numer, 144, Londyn, Środa, 20 czerwca, 1945 r.

W sprawie moskiewskiego procesu Oświadczenie Rządu Rzeczypospolitej Polskiej

W związku z odbywającym się obecnie w Moskwie procesem 12 przedstawicieli Polskiego Ruchu Podziemnego Rząd Polski oświadcza:

1. Identyfikacja, śledztwo i wyrok w sprawie 12 przedstawicieli Ruchu Podziemnego w Moskwie zostały przeprowadzone przez Polaków Ruch Podziemny i kierownictwo Ruchu Podziemnego w Warszawie. W ten sposób na ławie oskarżonych w Moskwie znaleźli się tylko Polacy Ruchu Podziemnego i kierownictwo Ruchu Podziemnego w Warszawie. W ten sposób na ławie oskarżonych w Moskwie znaleźli się tylko Polacy Ruchu Podziemnego i kierownictwo Ruchu Podziemnego w Warszawie.

Pomnik w N. Jorku
Władysława Jagiełły
Nowy Jork - 19.6.45. - W niedzielę w Nowym Jorku odsłonięto pomnik Władysława Jagiełły. Pomnik odsłonił go ówczesny burmistrz Nowego Jorku, Kosta Perzelowski. Pomnik odsłonił go ówczesny burmistrz Nowego Jorku, Kosta Perzelowski.

Ta scena zruca światło na cały proces: "Co się stało z żołnierzami A.K.?" Pytanie gen. Okulickiego pozostaje bez odpowiedzi

Jak można się zastanawiać, dlaczego w sprawie 12 przedstawicieli Ruchu Podziemnego w Moskwie, w oświadczeniu Rządu Rzeczypospolitej Polskiej, nie wspomiano o żołnierzach Armii Krajowej? W ten sposób na ławie oskarżonych w Moskwie znaleźli się tylko Polacy Ruchu Podziemnego i kierownictwo Ruchu Podziemnego w Warszawie.

Oskarżenie największego rucnu podziemnego Europy

Władysław Jagiełła, były szef Armii Krajowej, został oskarżony w Moskwie. W ten sposób na ławie oskarżonych w Moskwie znaleźli się tylko Polacy Ruchu Podziemnego i kierownictwo Ruchu Podziemnego w Warszawie.

Komunikat urzędowy

Władysław Jagiełła, były szef Armii Krajowej, został oskarżony w Moskwie. W ten sposób na ławie oskarżonych w Moskwie znaleźli się tylko Polacy Ruchu Podziemnego i kierownictwo Ruchu Podziemnego w Warszawie.

którymi świecił silny reflektor. Śledczy nie wymuszali zeznań i nie bili aresztowanych – i tak w protokołach pisali, co chcieli (nie były bowiem sporządzane na zasadzie pytań i odpowiedzi).

Śledztwo zakończono 14 czerwca i sporządzono akt oskarżenia. Adam Bień wspominał, że na krótko przed procesem wszystkim oskarżonym poprawiono racje żywnościowe, pozwolono się umyć, ogolić oraz dostarczono czyste ubrania.

Fikcyjny proces

Proces piętnastu przedstawicieli Polski Podziemnej (Antoniego Pajdaka ze względu na zły stan zdrowia sądzono w innym terminie), określanych jako „grupa Okulickiego”, rozpoczął się 18 czerwca 1945 r.

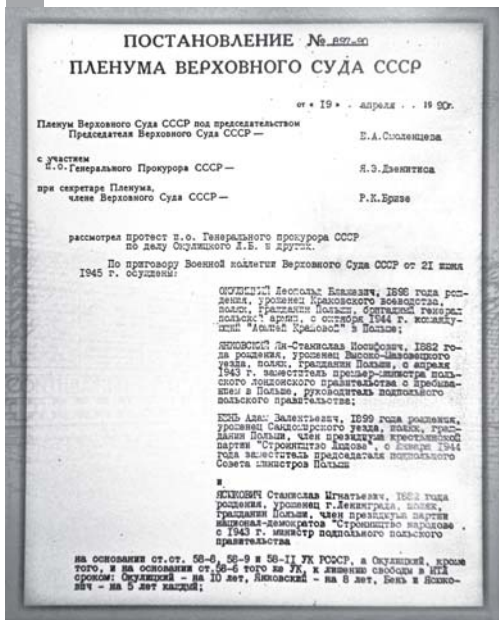
Pokajanie

„W ten sposób na ławie oskarżonych w Moskwie znaleźli się tylko Polacy Ruchu Podziemnego i kierownictwo Ruchu Podziemnego w Warszawie. W ten sposób na ławie oskarżonych w Moskwie znaleźli się tylko Polacy Ruchu Podziemnego i kierownictwo Ruchu Podziemnego w Warszawie.”

„Pierwszą depezę informującą o zaginięciu „szesnastu” wysłał 31 marca 1945 r. Stefan Korboński. Jej tekst z prośbą o interwencję został przekazany w trybie natychmiastowym przez ambasadora Raczyńskiego brytyjskiemu ministrowi Anthony'emu Edenowi

chilla prezydent Władysław Raczkiewicz wysłał 16 czerwca 1945 r. Prosił w nim o uczynienie wszystkiego, co mogłoby doprowadzić do zwolnienia aresztowanych. Zwrócił uwagę, że ich proces będzie sprzeczny z proklamowanymi zasadami Narodów Zjednoczonych o celach wojny i pokoju. Po raz kolejny starał się zadać kłam oskarżeniu o ich współdziałaniu z Niemcami przeciwko Armii Czerwonej.

Tymczasem po przewiezieniu do Moskwy polscy przywódcy spędzili 3 miesiące w więzieniu NKWD na Łubiance. Na czele ekipy dochodzeniowej stanął szef Oddziału Śledczego ds. Specjalnych NKGB, Włodzimierz. Metody przesłuchania



Orzeczenie SN ZSRR z dnia 19 kwietnia 1990 r. unieważniające wyrok w procesie szesnastu
ДОКУМЕНТ З ВИСТАВИ ІРН „ПРОЦЕС ШЕСНАСТУ”

z Niemcami przeciwko ZSRR. Proces był pogwałceniem umów międzynarodowych, które zabraniają sądenia władz państwowych przez sądy innych państw. Oparto go na umowie z 26 lipca 1944 r. pomiędzy PKWN a ZSRR o pasie przyfrontowym i ochronie tyłów oraz na uchwale Rządu Tymczasowego z 22 lutego 1945 r. dotyczącej tej samej kwestii.

Zarówno porwanie, aresztowanie, oskarżenie, jak i proces służyły spacyfikowaniu polskiego podziemia oraz wyeliminowaniu jego przywódców. Zdaniem oskarżonych, Sowieci całą winę starali się przerzucić na Okulickiego. Adam Bień wspominał, że jego obrońca – *usiłował tak robić, żebym ja wylazł z tego procesu na plecach Okulickiego. Normalnie jak jest proces, to powstaje protokół, w którym jest zapisane, co każdy podsądny mówi. Tam nie powstał żaden protokół, tam powstała literatura propagandowa, w której pokazano, że myśmy wszyscy walczyli przeciwko naszemu rządowi.*

Generał Okulicki postanowił bronić się sam. Próbował korzystać z przysługujących mu praw. Już w pierwszym dniu procesu zgłosił

wniosek o przesłuchanie w charakterze świadków niektórych dowódców okręgów AK, m.in. płk. Władysława Filipkowskiego, byłego komendanta Okręgu Lwowskiego, płk. Edwarda Tumidajskiego, byłego komendanta Okręgu Lubelskiego, płk. Jana Kulczyckiego, byłego komendanta Okręgu Wileńskiego, płk. Adama Świtalskiego, byłego dowódcę 3. Dywizji Piechoty, płk. Jana Kotowicza, byłego dowódcę 27.

włączono do akt sprawy i potraktowano jako materiał obciążający Okulickiego. Sąd zdecydował o wezwaniu Kotowicza, Kulczyckiego i Bitnera, ale wykluczył Tumidajskiego, Świtalskiego i Filipkowskiego. Jego zdaniem nie przebywali oni na terenie ZSRS.

Było to kłamstwo. Tumidajski i Świtalski przebywali w łagrze. Natomiast Filipkowski był w drodze do obozu. Aresztowano go w nocy



WYROKI:

Gen. Leopold Okulicki	10 lat
Jan S. Jankowski	8 lat
Adam Bień	5 lat
Stanisław Jasiukowicz	5 lat
Antoni Pajdak	5 lat
Kazimierz Pużak	1,5 roku
Kazimierz Bagiński	1 rok
Aleksander Zwierzyński	8 miesięcy
Eugeniusz Czarnowski	6 miesięcy
Józef Chaciński	4 miesiące
Stanisław Mierzwa	4 miesiące
Zbigniew Stypułkowski	4 miesiące
Franciszek Urbański	4 miesiące
Stanisław Michałowski	
Kazimierz Kobyłański	uniewinnieni
Józef Stemler-Dąbski	

Odczytanie wyroku, Moskwa 21 czerwca 1945 r.
FOT. Z WYSTAWY ІРН „ПРОЦЕС ШЕСНАСТУ”

z 2 na 3 sierpnia 1944 r. w Żyto-mierzu po zakończonych fiaskiem rozmowach m.in. z Iwanem Sierowem. Nie zgodził się na złożenie broni i wcielenie podległych mu żołnierzy do armii Berlinga. Wywieziono go najpierw do obozu w Charkowie i poddano śledztwu. Przesłuchania nasiliły się na przełomie kwietnia i maja 1945 r., kiedy to usiłowano wymusić na nim zeznania obciążające Komendę Główną AK oraz samego Okulickiego. Najprawdopodobniej nie uległ presji, dlatego też Ulrych nie zgodził się z wnioskiem generała o powołanie go na świadka.

Żaden ze świadków Okulickiego nie pojawił się na sali sądowej. Trzech zaakceptowanych przez sąd świadków nigdy nie dowieziono na rozprawę. Decyzja sądu była umotywowana niesprzyjającą pogodą.

Dywizji Piechoty oraz gen. bryg. Ludwika Bitnera. Wszyscy byli bliskimi współpracownikami generała, a obecnie znajdowali się w rękach sowieckich. Złożyli zeznania, które

Świadczeniemi oskarżenia byli w większości ludzie o nieznanym nikomu nazwiskach. Wszyscy potwierdzali, że Armia Krajowa dokonywała sabotażu wobec Związku Sowieckiego. Najprawdopodobniej, sądząc po ich stanie fizycznym, wszyscy od dłuższego czasu przebywali w sowieckich więzieniach. Wszyscy też zgodnie i gorliwie potwierdzali, że na terenie Polski mordowali nie tylko żołnierzy, ale i funkcjonariuszy

Czerwonej przelewał krew w walce o dobiecie hitlerowskiego zwierza. Chciał oszukać naszych sojuszników angielskich i amerykańskich, którzy mu dawali poprzednio broń dla walki z Niemcami, a nie ze sprzymierzoną z nimi Armią Czerwoną. Chciał oszukać naród polski, wmówić mu, że sanacyjne wilki stały się nagle łagodnymi, demokratycznymi barankami, że sanacja wyrzekła się swej awanturniczej, prowokacyjnej,

kiego do Polski w celu walki z Armią Czerwoną. Zbrodnie, których rękoma dopuścili się oskarżeni, zasługiwały na karę śmierci.

Zdaniem prokuratora: – *Panowie ci nie znali granic swej bezczelności. Pozwalali sobie na nazywanie Czerwonej Armii „wojskiem okupacyjnym”, a z ponurych kątów swego ciemnego podziemia ci konspiracyjni ministrowie i członkowie tzw. Parlamentu – te kukły – bawili się w politykę, próbując wbić nóż w plecy Czerwonej Armii. Skłaniamy nasze głowy w hołdzie pamięci setek żołnierzy i oficerów Armii Czerwonej, którzy zginęli lub byli torturowani do śmierci przez tych łotrów z Armii Krajowej. (...) Wasze pożałowania godne wysiłki – panowie ministrowie z podziemi – przypominają zachowanie ślepych zwierząt – kretów. Dobroduszość naszą wzięliście za słabość.*

Najwyższe wyroki otrzymali gen. Okulicki, Jan Stanisław Jankowski, Stanisław Jasiukowicz, Adam Bień oraz Antoni Pajdak. Trzej pierwsi zmarli w sowieckich więzieniach.

Przywódcy Polskiego Państwa Podziemnego zostali zrehabilitowani w 1990 r. – decyzją plenum Sądu Najwyższego ZSRR umorzono postępowanie karne wobec wszystkich skazanych w „procesie szesnastu”. ■

Źródła:

Armia Krajowa: w dokumentach 1939–1945, T.V: Październik 1944 – lipiec 1945, Wrocław 1991,

Sprawozdanie sądowe w sprawie organizatorów, kierowników i uczestników polskiego podziemia w zapleczu Armii Czerwonej na terytorium Polski, Litwy oraz obwodów zachodnich Białorusi i Ukrainy: rozpatrzonej przez Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego ZSRR 18–21 czerwca 1945 r. w Moskwie, Rzeszów 1991,

Bagiński Kazimierz, *Proces szesnastu w Moskwie: Wspomnienia*, Warszawa 1985,

Bień Adam, *Listy z Lubianki*, Kraków 1997, Przemyski Andrzej, *Ostatni Komendant generał Leopold Okulicki*, Lublin 1990.



Okupacyjna kenkarta Leopolda Okulickiego (na nazwisko Stefan Stolarski), z którą został aresztowany przez NKWD 27 marca 1945 r. DOKUMENT Z WYSTAWY IPN „PROCES SZESNASTU”

sowieckich. Rozkazy dostawali na piśmie od AK.

Prokurator Afanasjew podczas swojej mowy oskarżycielskiej przedstawiał gen. Okulickiego jako winnego nie tylko zarzucanych mu w akcie oskarżenia czynów, ale przede wszystkim winnego sytuacji, w jakiej znaleźli się pozostali oskarżeni – ofiary jego działalności.

W broszurce, która ukazała się nakładem Wojewódzkiego Urzędu Informacji i Propagandy w Łodzi w roku 1945, możemy przeczytać, że: – *oskarżeni chcieli poprzez swą działalność oszukać nie tylko naród polski i Związek Radziecki, ale także swoich angielskich sojuszników. Jednak ci angielscy sojusznicy to tak naprawdę sojusznicy ZSRR, a nie „kliki” p. Raczkiewicza. Gen. Okulicki chciał oszukać Związek Radziecki, osłabić czujność Armii Czerwonej w stosunku do dywersyjnych szajek, które działały przeciw niej w chwili, gdy żołnierz Armii*

zgubnej dla Polski polityki antyradzieckiej. Chciał oszukać swych własnych żołnierzy.

Wyrok

Wyrok ogłoszono 21 czerwca 1945 r. Mowa obrończa gen. Okulickiego trwała 80 min. Podkreślał w niej, że proces ma charakter polityczny, a oskarżyciele nie mogą dowiedzieć, że oskarżeni nie walczyli z Niemcami. Okulicki przyznał się do prowadzenia wrogiej propagandy przeciwko Armii Czerwonej i Związkowi Sowieckiemu, utrzymywania nielegalnego sztabu, stworzenia nielegalnej organizacji i utrzymywania kontaktu z Londynem, niezłożenia broni, amunicji i radioaparatu. Nie przyznał się do zarzucanego mu terronu i dywersji.

Prokurator stwierdził jednak, że oskarżonym udowodniono wszystkie zbrodnie. Głównym inspiratorem ich działań był rząd polski w Londynie, który wysłał Okulic-

UMIERALI Z GŁODU, ZIMNA I WYCZERPANIA

Dramat zaczął się w nocy z 9 na 10 lutego 1940 r., gdy władze sowieckiej Rosji po dokonanej agresji na Polskę przeprowadziły pierwszą masową deportację polskich rodzin. Na „niehumanitarnej ziemi” wielu z nich nie wytrzymało ekstremalnych warunków i umierało. Po 75 latach od tej zbrodniczej akcji pamięć o Sybirakach uczczono w całej Polsce, m.in. w Białymstoku i Warszawie.

Dla nas, Sybiraków, pamięć o masowych deportacjach w głąb Związku Sowieckiego położyła się cieniem na całe życie. To, co przeżyliśmy, było straszne, okropne i niesłychanie okrutne. Wspominamy te wydarzenia z bólem i wciąż do dziś wydaje nam się, że to było jakby wczoraj – podkreślił w rozmowie z „Kombatantem” prezes Związku Sybiraków, Tadeusz Chwiedź, który w 1940 r., mając siedem lat, został zesłany do Kazachstanu z matką i siostrą. Do Polski wrócił sześć lat później. Działa w Związku Sybiraków od czasu jego reaktywowania w 1988 r.

Tragedia pierwszej deportacji

W pierwszej deportacji władze sowieckiej Rosji wywoziły ze wschodnich terenów Polski ok. 140 tys. polskich obywateli – takie dane wynikają m.in. z zachowanych dokumentów NKWD. Realizując swój plan scalenia wschodnich terenów Rzeczypospolitej z ZSRS, uderzali przede wszystkim w inteligencję. Deportowane były rodziny wojskowych, urzędników, pracowników służby leśnej i kolei. Decyzję o wywózkach podjęła jeszcze w grudniu 1939 r. Rada Komisarzy Ludowych. Przygotowania, które osobiście nadzorował Wsiewołod Mierkułow – zastępca szefa NKWD Ławrientija Berii – trwały ponad dwa miesiące.

Funkcjonariusze NKWD w głębokiej tajemnicy sporządzali długie listy rodzin, które miały trafić w głąb Związku Sowieckiego.

– To była pierwsza z czterech masowych deportacji na Sybir i jednocześnie deportacja najcięższa, w straszliwych warunkach. Dramat ten dotyczył tysięcy polskich rodzin. Brutalną akcją wysiedlania Polaków z dawnych Kresów przeprowadzali enkawudziści. Pamiętam, że w domu byliśmy całkowicie zaskoczeni, była przecież ostra zima, a sposób działania NKWD był bandycki. W każdym pokoju stał jeden z nich, w każdej chwili mogli uderzyć nas ostrymi bagnetami. Na spakowanie się dano nam 20–30 minut, a potem wsadzano nas do bydłocych wagonów. Nie wiedzieliśmy, gdzie nas wiozą, za co nas wiozą, nie mieliśmy pojęcia, co z nami będzie – wspomina prezes Chwiedź.

Schemat deportacji był podobny dla wszystkich. Noc, walenie kolbami do drzwi domu, wejście NKWD i 15–30 minut na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy. Później wielodniowa podróż w wagonach dla bydła, w końcu jakiś przysiółek w głębi sowieckiego imperium. – Przychodzili żołnierze, dwóch, trzech żołnierzy z karabinami, oficer z pistoletem, prócz tego jeszcze jakiś działacz komunistyczny z danego terenu (...).

Odczytywano dekret o przesiedleniu polskiej ludności w inne rejony. Tak to było sformułowane, w inne rejony Związku Sowieckiego. „I wasza rodzina też podlega tej deportacji. Pół godziny macie na spakowanie się”. Cóż można w ciągu pół godziny wziąć – opowiadał Zbigniew Paszkiewicz, którego wspomnienia zebrano w ramach projektu IPN „Opowieści o wolnej Polsce”.

Transport deportowanych na Syberię lub kazachstańskie stepy trwał najczęściej kilka tygodni. – W nie-



Polscy zesłańcy. Grupa kobiet pracujących przy spławianiu drewna. FOT. ARCHIWUM

ludzkich warunkach, natłoczone pełne wagony ludzi i nie można się nikogo spytać i do kogo odezwać (...). I jechaliśmy, i tak jedziemy tydzień, dwa, trzy. Co dwa dni otwierają się drzwi, pod bagnetami żołnierze rosyjscy i takie pytanie było zawsze: „Kto padoch?”, czyli kto

umarł, wyrzucali na śnieg, a pociąg jechał dalej i dalej – wspomina Dezyderia Gajda, która została zesłana do Kazachstanu. Jej ojca Józefa Piękosza, komendanta Policji w Czudlu, funkcjonariusze NKWD rozstrzelali w kwietniu 1940 r. w Twerze w ramach zbrodni katyńskiej.

Prezes Związku Sybiraków dodaje, że trudnych warunków deportacji nie wytrzymało wielu ludzi, zwłaszcza dzieci i osoby starsze, których ciała bez żadnych skrupułów i na oczach najbliższych członków rodziny wyrzucano na pobocza torów. – *To było coś, o czym trudno opo-*



wiadac, a co dopiero oglądać i przeżywać. Matki musiały patrzeć, jak ich dzieci są tam zostawiane, wnuki musiały oglądać swoje babcie. Ludzie umierali, byli osłabieni, bo nie mieliśmy co jeść. Dawano wrzątek, a od czasu do czasu wiadro czegoś, co tylko umownie można nazwać zupą – opowiada Tadeusz Chwiedź.

Polacy trafiali do kolchozów lub sowchozów, gdzie czekała ich niewolnicza praca, nędza, choroby i głód. Pracować musiały nawet dzieci, bo obowiązywała zasada „kto nie rabotajet, ten nie kuszajet”, czyli: „kto nie pracuje, ten nie je. – *Ta gehenna dla niektórych trwała sześć lat, dla innych dziesięć, a czasem, niestety, i piętnaście lat –* dodał prezes Sybiraków.

Białystok – uroczystości i wystawa „Syberia carów”

Tegoroczne uroczystości upamiętniające polskie rodziny wywożone

w lutym 1940 r. w głąb ZSRR odbyły się tradycyjnie w Białymstoku. Pamięć o tych, którzy stali się ofiarami bezwzględnej polityki Sowietów, uczczono przed Grobem Nieznanego Sybiraka i Pomnikiem Katyńskim. Delegacje Związku Sybiraków, przedstawiciele władz, Instytutu Pamięi Narodowej, Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, w asyście honorowej Wojska Polskiego i w obecności dowódców wszystkich służb mundurowych w ciszy i zadumie składali kwiaty i zapalili znicze. – *To były bardzo satysfakcjonujące, pa-*

“ Na spakowanie się dano nam 20–30 minut, a potem wsadzano nas do bydłych wagonów. Nie wiedzieliśmy, gdzie nas wiozą, za co nas wiozą, nie mieliśmy pojęcia, co z nami będzie

triotyczne uroczystości. W ten sposób przypomnieliśmy historię wywozek na Wschód i upamiętniliśmy tych, którzy z zesłania nie wrócili – zaznaczył prezes Chwiedź.

Poza oficjalnymi ceremoniami Sybiracy uczestniczyli także w otwarciu ekspozycji „Syberia carów. 400 lat kontaktów polsko-syberyjskich” w Muzeum Wojska w Białymstoku. Ekspozycja obejmuje okres od końca XVI w. do czasów I wojny światowej, a jej punktem wyjścia jest przekaz, według którego jeńcy polscy wzięci do niewoli rosyjskiej w trakcie wojen północnych Stefana Batorego uczestniczyli w 1581 r. w słynnej wyprawie atamana Jermaka Timofiejewicza na drugą stronę Uralu. – *To ważna i ciekawa wystawa, która opowiada o tym, że polscy zesłańcy, mimo tragedii, która ich spotkała, znacząco przyczy-*

niali się do rozwoju Syberii – ocenił Tadeusz Chwiedź.

W Białymstoku w najbliższych latach ma powstać Muzeum Pamięci Sybiru o charakterze ogólnopolskim, które zajmie się tematyką wywozek Polaków na Wschód. Ekspozycje mają być poświęcone nie tylko deportacjom z okresu wojny, ale także wcześniejszym zesłaniom naszych rodaków, począwszy od XVII w. Warto przypomnieć, że Polacy nie zawsze siłą byli zsyłani na Syberię, część z nich osiedlała się na dalekich i mroźnych terenach dobrowolnie. Przykładem mogą być przodkowie mieszkańców dzisiejszej Wierszyny – wsi położonej w tajdze syberyjskiej nad rzeką Angarą, ok. 120 km od Irkucka i ponad 6 tys. km od Polski. Tych emigrantów do osiedlenia się tak daleko od rodzinnego kraju zachęciły reformy Piotra Stołypina, premiera Rosji w okresie rządów ostatniego cara Rosji, Mikołaja II Romanowa.

Masz mało czasu, trzeba dać świadectwo

Uroczystości upamiętniające tragedię tysięcy polskich rodzin odbyły się również w Warszawie. W Domu Kultury „Świt” Fundacja Kresy Historii zorganizowała spektakl muzyczno-poetycki „Masz mało czasu, trzeba dać świadectwo”. Wystąpili w nim znani aktorzy, m.in. Marian Opania i Adam Woronowicz; swoimi wspomnieniami z widzami podzieliła się senator RP, Barbara Borys-Damięcka, która jako czteroletnia dziewczynka wraz z rodziną została zesłana za Ural.

– *Moja rodzina i ja znaleźliśmy się w dalekiej Republice Komi ASRR (Komijskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republice Radzieckiej), gdzie temperatura spada do minus 50 stopni Celsjusza, a tzw. lata są bardzo krótkie, dwu-, może trzymiesięczne – zaczęła swoją opowieść Borys-Damięcka. – Pamiętam przede wszystkim głód, który był strasz-*

liwy, bardzo wielu ludzi z głodu umierało. Głód to jest takie uczucie, które zaczyna się od burczenia w brzuchu, potem to burczenie zamienia się w jakieś skurcze, których się nie rozumie. Potem odczuwa się w głowie szum, który przez pewien czas nie pozwala logicznie myśleć, następnie pojawiają się zwiidy, po cząwszy od czarnych plam po sugestywne obrazy jak np. zielone oczy mojej mamy lub jej kruczoczarne włosy, choć w tym czasie moja mama, mimo że miała dwadzieścia parę lat, była już siwa. Głód wywoływał też uczucie przylegania całego ciała do kręgosłupa, i to, że nie ma czym oddychać – mówiła senator. – Najważniejszym pożywieniem były zalewane wrzątkiem, tzw. kipiatiokiem, lebioda, jakieś rośliny czy susz i ten wywar był podstawowym pożywieniem oraz okruszki czy kawałeczki czarnego chleba – dodała.

Polacy na zesłaniu na Syberii, w stepach Kazachstanu, za Uralem mieszkali w fatalnych warunkach, byli nie tylko głodzeni, ale nie mieli również opieki medycznej i zapadali na ciężkie choroby zakaźne. – Było nam tam okropnie zimno. Nie dało się tych baraków ogrzać. Wszyscy mieliśmy wiecznie zimne nogi, ręce, czubki nosów i to do tego stopnia, że stale groziło nam ich odmrożenie. Trzeba było cały czas tulić z własną małą dziećmi, by nie zmarzły. Uczucie zimna przenikało nas do szpiku kości i nawet po tym koszmarze, gdy wróciliśmy do Polski, ale i do dzisiejszego dnia cały czas

sprawdzam, czy nie zamarzły mi palce – wspominała Barbara Borys-Damięcka.

Zbrodnia katyńska i pamięć

W spektaklu „Masz mało czasu, trzeba dać świadectwo”, którego reżyserią i scenariuszem zajęli się ks. Andrzej Chibowski i Aneta Hoffmann, wiele miejsca poświęcono także zbrodni katyńskiej. Ten wyjątkowy w dziejach świata mord na prawie 22 tys. Polaków – na przedwojennej elicie kraju, zawodowych oficerach, lekarzach, inżynierach, ludziach nauki – jest ściśle związany z wielkimi deportacjami. Mało osób wie, że kwalifikacja zbrodni katyńskiej jako ludobójstwa związana jest nie tylko z losem zamordowanych przez NKWD polskich jeńców i więźniów, ale także – co podkreśla IPN – z losem ich rodzin, wysłanych na powolną śmierć w głębi ZSRS.

– My, Sybiracy, nigdy nie zapomnimy tej zbrodni i wciąż na nowo przekazujemy pamięć o niej kolejnym pokoleniom. Wywózek na Wschód i zagłady naszego narodu na Kresach nie można przemilczeć, nie można zapomnieć. Ta rocznica musi być przypominana, ale nie dla nas, bo my, Sybiracy, pamiętamy, lecz dla młodych ludzi. Dzisiaj, widząc, co dzieje się na wschodzie Ukrainy, tym bardziej jako świadkowie musimy opowiadać o tamtej tragedii po to, by nigdy nie mogła się ona powtórzyć. Musimy zrobić wszystko, by nam się udało – podkreślił Tadeusz Chwiedź. ■

CZTERY DEPORTACJE

W latach II wojny światowej – od 10 lutego 1940 r. do czerwca 1941 r. – władze ZSRS, okupującego wówczas wschodnią część Polski, zorganizowały w sumie cztery masowe deportacje naszych obywateli. Wśród historyków i Sybiraków nie ma zgodności co do liczby rodaków wywiezionych na Wschód po 17 września 1939 r. Związek Sybiraków przyjmuje, że było ich ok. 1,35 mln. Historycy, powołując się przede wszystkim na sowieckie źródła, szacują, że represje dotknęły niespełna 500 tys. obywateli polskich, z czego 320 tys. to osoby przymusowo wywiezione.

Dzienniki i korespondencja pozostają niezwykle cennym źródłem dla pisarzy i historyków, stanowiąc unikalną, niebywale interesującą notację wydarzeń. Teksty nieprzeznaczone do druku są zazwyczaj zapisami obserwacji, spontanicznych reakcji autora wobec otaczającego go świata. Odnotowując na bieżąco przeżycia, autor nie ogranicza się wyłącznie do podawania faktów. Z kolei w rękach wybitnego pisarza zapiski kronikarza zamieniają się w świadectwo. Melchior Wańkowicz dokonał tego w niepozornym tekście zatytułowanym „Dzieje rodziny Korzeniewskich”. Zawarł w nim historię polskiej rodziny, która została skazana na unicestwienie, przechodząc gehennę w Rosji sowieckiej. Tekst „Dziejów rodziny Korzeniewskich” powstał jeszcze w czasie wojny, gdy w siedzibie Czerwonego Krzyża w Teheranie Wańkowicz spotkał Hankę Korzeniewską. Hanka jest ostatnią żyjącą z rodziny. Ocalała i wyjechała z Rosji z niezwykle cennym skarbem: pamiętnikiem starszej siostry Oli. Ten zapis będzie dla Wańkowicza tak wstrząsający, że wykorzysta jego fragmenty i opíše historię rodzinną, która uderza tym bardziej, że nic w niej nie zmieniono, nie podbudowano dramatyizmu zdarzeń, nie dopracowano fabuły pod czytelnika. Fakty muszą wystarczyć.

Raz dałem komuś przybyłemu z Rosji spisaną przeze mnie historię tysiąca sześciuset więźniów Polaków, pędzonych przez 5 dni bez jedzenia i wody z więzienia w Starej Wilejce do Borysowa, tak, że ludzie próbowali pić – z czapek, filtrowaną przez chusteczki – własną urynę. W tym czasie z liczby tysiąca sześciuset straża dobiły czterystu, zbyt osłabionych, a rozbestwieni dozorczy, złapawszy jednego, który rzucił się do ucieczki, kazali innym pędzonym, którym nie pozwalano załatwiać naturalnych potrzeb, oddawać kał na trupa.

Znajomy mój odczytał nazwiska skrzętnie zebrane, miejscowości, daty i godziny i oddał z uwagą: – Szablonowa historia.

Hanka Korzeniewska opowiedziała mi też – »szablonową historię«.



MELCHIOR WAŃKOWICZ

„DZIEJE RODZINY KORZENIEWSKICH”

(FRAGMENTY)

Ojciec odesłał rodzinę do Krakowa, a sam pozostał w Katowicach. (...) Nazajutrz w piątek rozpoczęła się wojna. (...) W niedzielę cały bombardowany Kraków emigruje. (...)

Czekają na jakiejś stacyjce, pełnej takich uciekinierów jak oni. W przeciwnym kierunku – pod front – jadą promienne, szczęśliwe, rozśpiewane eszelony naszego wojska. Trzy dni jadą do Lwowa. Kiedy przybywają do Lwowa – widzą morze ognia. Dwunastego podeszły pancerne dywizje niemieckie pod Lwów, który nie miał załogi, leżąc daleko na tyłach. Nim napłynęła pomoc, miejscowe szczupłe oddziały dwójli się i troiły.

Po dziesięciu dniach walk bolszewicy podeszli pod Lwów. Miasto już nie mogło się bronić. Dni pod okupacją rosyjską nieraz gdzie indziej

były opisywane. Już wkrótce wiedzieli, że okresowe branki ludzi to nie przypadek.

Dla rodziny Korzeniewskich taka noc przysła dopiero w lipcu 1940 roku. Najprzód przyszli o godzinie drugiej w nocy po mieszkającą w ich mieszkaniu rodzinę wiedeńskich Żydów. Reszcie kazali kłaść się spać. Ale nikt nie spał. Obławy kończyły się dopiero o siódmej rano. Około czwartej nad ranem posłyszeli kroki. Uzbrojeni ludzie kazali im się zabrać w ciągu piętnastu minut.

Kiedy ich wieźli, było jasno. Przechodnie zatrzymywali się i żegnali ich znakiem krzyża. Nie było między nimi ojca, który był w Dublanach, ani Oli, która z poślubionym podchorążakiem mieszkała na Persenkówce. Pisali kartki i rzucali na jezdnię. Wszystkie co do jednej do-

szły i na Persenkówkę i do Dublan.

Przez szczeliny zamkniętego wagonu widać peron i co na nim się dzieje. Najprzód przybiegła Ola z mężem i z jego rodzicami. Skrzyknęli ich pod wagon. Potem nadbiegł, powiadomiony w Dublanach, ojciec. I ojciec, i Ola z mężem chcą dzielić los wywożonych, ale straż nie puszcza. O tym decyduje NKWD w mieście.

Pod wieczór – wszyscy, całą rodziną, znaleźli się w wagonie.

Dziesiątego dnia wywagonowano trzysta osiemdziesiąt osób na stacji: Afanasiewskij Razjezd Swierdłowskiej Oblaści, Aczyckiego Rejonu.

Rodzina Korzeniewskich wraz z dwustu innymi osobami była wysłana na miejsce pracy do miejscowości odległej o szesnaście kilometrów. Zalokowano ich w dwu barakach,

nie mających prycz ani podłóg.

Straszna beznadziejność ogarnęła wszystkich. Po ciemku kopnymi drogami brną na robotę trupy za żywa pogrzebane, dla których nie ma nadziei.

ZESZYT Z SZAREGO ZIEMISTEGO PAPIERU

„12 VI była rocznica naszego ślubu. Tyle miałam na nią planów! Ale przeżywalimy tak straszliwe głodowanie, takie wyczerpanie, że trudno opowiedzieć. Myślałam rano po przebudzeniu, że jednak bardzo się zmieniłam. Nie czułam żalu, że dzień, jak mi się zdawało, tak bardzo uroczysty, nie będzie niczym uświetniony, że nie będę miała po nim żadnych wspomnień. Tymczasem mama, moja niezawodna mama, wyczarowała nam do lasu po dwa kawałki chleba i manierkę kawy z mlekiem. Wieczorem odebrałam całą masę życzeń. Jurek nie umiał sobie nic wyobrazić, co się życzy; życzył tylko, żebyśmy już nigdy więcej nie byli głodni”.

2 lipca 1941. Ola cierpi bardzo na newralgię i ma zapalenie nerwu trójdzielnego. Lekarka jej nie zwolniła, tylko dała trzy proszki weronalu...

6 lipca 1941. „Noc dzisiejsza była wprost upiorna. Pluskwy gryzły strasznie; pewno się znów wyroiły. Komary zaś tak ciężły, zrobiły taki koncert brzęczący, że do świtu nie mogliśmy zmrużyć oka”.

7 lipca 1941. Mały mężczyzna stara się brać na siebie część brzemienia. „Zawchoz” I dał tyle toporów Oli i jej mężowi do ostrzenia, że nie mogli pójść na kolację.

18 lipca 1941. „Wczoraj po południu, kręcąc kamień w piloprawce, zdałam sobie jasno sprawę z tego, że zbliża się nasz koniec. Jesteśmy wymęczeni bezgranicznie i nie do opisania głodni! Jestem taka chora, taka chora... W nocy miałam silną gorączkę, nerki bolą mnie nieustannie, męczą mnie ciągle dreszcze. Co

godzinę przynajmniej muszę chodzić na dwór, tak jak zresztą wszyscy. Wszyscy jesteśmy też poprzębiani w niemożliwy sposób”.

6 sierpnia 1941. „Jeszcze Polska nie zginęła!”. Do tajgi uralskiej przysłała wieść, że pierwszego sierpnia w Moskwie została podpisana umowa między rządem polskim i sowieckim.

8 sierpnia 1941. Wiadomości o jakiejś akcji polskiej poczynają przychodzić do tajgi. Podobno aero-



Prom na rzece Abakan FOT. ARCHIWUM

planem przyleciała z Londynu misja wojskowa polska. Podobno tworzy się armia polska spośród uwięzionych w Rosji.

26 września 1941. Oczekiwanie na pociąg się przeciąga. Pod wpływem wieści o trudnościach aprowizacyjnych, wszyscy chcą jechać dalej, na południe. Nikt dobrze nie wie, czy na tym południu nie będzie jeszcze gorzej, ale nędzarzy przeraża zbliżająca się zima. Mąż Oli chce zdobyć pieniądze na bilet kolejowy na południe.

27 września 1941. „Od wczoraj wieczorem stoimy na głowie. Zawiadomiono nas o jedenastej w nocy, że na rano będzie wagon jeden na 60 osób”.

28 września 1941. „Jesteśmy zaśnieżeni brudem. Stoimy już 24 godziny na stacji – nie mamy pojęcia, kiedy nas przyczepią do jakiego pociągu”.

1 października 1941. Chropikł koło Pierwouralska. „Jechaliśmy owe 80 kilometrów trzy doby. Odstawiano nas na skrzyżowaniach na całej godzinie. Pozwolono nam kupić po

40 deka chleba na osobę. W Pierwouralsku można zdobyć pracę w lesie”.

3 października 1941. Chronyńsk. „Stoimy tu na stacji już trzy doby. Większość czasu spędzamy na naszej pryczy na trzecim piętrze, bo gdzie indziej miejsca nie ma”.

7 października 1941. Swierdłowski. „Już trzecią dobę stoimy na stacji w Swierdłowsku”.

17 października 1941. Orenburg. Ponieważ i Swierdłowski zaprotestował przeciw przyjmowaniu polskich

wygańców, więc znowu ich posłano dalej bez obowiązku kupowania biletów.

18 października 1941. Orenburg ich nie przyjął, skierowano ich do Taszkientu.

24 października 1941. Taszkient ich nie przyjął. Skierowano ich do Brewska. Ale i Brewsk ich nie przyjął. „Nikt nie wie, czy nie chce nam powiedzieć, gdzie jest miejsce naszego przeznaczenia. Dojechalśmy obecnie do Samarkandy. Ale i tu zabroniono wysiadać... Pieniądzy nie mamy. Jesteśmy niesłychanie głodni”. To była ostatnia strona pamiętnika.

OPOWIADANIE HANKI

Samarkanda jest stolicą Republiki Uzbekiej. Pędzono przez światy ro-



Syberyjska tajga i pociąg, autor Telesfor Sobierajski ILLUSTRACJA Z ARCHIWUM FUNDACJI KRZYSY-SYBERIA, WWW.KRZYSY-SYBERIA.ORG

dzinę Korzeniewskich wyrzucono na plac nadrzeczny, jak drwale zrzucają na splaw pnie ściętego drzewa. Gdy przyjechali – na piasku nad rzeką Amu-Darią konało w dzień z upału i trzęsło się nocą z zimna ponad tysiąc polskich wygnańców. Pociągi dowoziły dalszych. „Rozdawano nam chleb – mówię z uznaniem Hanka. Ludzie nabierali otuchy: skoro rozdają chleb, to zapewne wiozą nas za wiedzą NKWD”.

Jeszcze niedawno cieszyli się, że polscy „amnestionowani” (od czego?) wygnańcy zostają wyłączeni spod opieki tej straszliwej instytucji.

Wreszcie któregoś dnia holownik przyciągnął cztery barki. Wtłoczono na każdą po siedmiuset wygnańców z Polski. Holownik ruszył w dół rzeki, ku Morzu Aralskiemu. Następnej nocy nagle skonstatowali, że hol ich barki został zluźwany, że barka została. Krzyki nic nie pomagały – statek z pozostałymi barkami oddalał się i znikł. Enkawudziści pochowali się. Było jasne, że barka jest odczepiona celowo. Ale co będzie dalej? Gdy zaświtało – wyłonił się niski mokry brzeg. Poczęli wychodzić – nikt nie bronił. Poczęto ich rozsyłać po kolchozach jako siłę roboczą do bawełny. Rodzinie Korzeniewskich udało się otrzymać lepiankę, w której przedtem mieściła się szkoła. Chleba – tego jedyne

i podstawowego produktu, którym, poza kartoflami w pewnych porach, odżywia się Rosja – nie było.

2 grudnia. Ola, leżąca w szpitalu w Szabasie, dowiedziała się, że pojedzie transport z powrotem w górę Amu-Darii. Dała tuziemcowi obrączkę złotą, dwa bochenki chleba i sto pięćdziesiąt rubli, aby zawiózł rodzinie kartkę z wiadomością, że mają natychmiast przyjeżdżać. Rodzinę Korzeniewskich wysłano do pracy do kolchozu „Woroszyłow”. Kolchoz „Woroszyłow” był odległy od stacji pięć kilometrów i osiem kilometrów od miasteczka, w którym leżała Ola. Rodzina Korzeniewskich ulokowała się w lepieńcu z gliny. Nie było w nim najmniejszego sprzętu. Praca była tego rodzaju, że całymi tygodniami nosiło się nosidłami – po dwie osoby – ziemię z jednego końca pola w drugi.

Po dwóch tygodniach pobytu w kolchozie na samo Boże Narodzenie, przywiózł Uzbek Olę ze szpitala. Zbliżała się Wigilia. Wrócił ojciec, który ostatnimi dniami chodził jak cień, z garstką kaszy. Matka spytała, skąd ją zdobył. Wobec bojkotu ludności niczego nie można było dostać. Długi czas nie mówił nic. Wreszcie wskazał na rękę, na której nie było obrączki. U pięćdziesięcioośmioletniego Korzeniewskiego następuje szybki zanik mięśni. Przestaje

chodzić na robotę. Przechodzi do kategorii „żywieńców”. Matka jest „żywieńcem”, Ola leży i jęczy. I ona nie chodzi na robotę. Mały Jurek też jest zaliczany do kategorii „żywieńców”, chociaż spała się chęcią pomżenia rodzinie. Ale ustawy sowieckie są „liberalne”; nie można zatrudniać małoletnich. Gotują w wodzie – makuchy wytłoczone z ziaren bawełny. Kiedy Hanka podaje matce kubek z nakruszonymi makuchami, matka długo ją gładzi po głowie i mówi cichym głosem: „kiedy umrę, pamiętaj o dziecku...”. Dziecko to Jurek.

Dziesiątego lutego ojciec traci przytomność. Kona dziewięć dni. Matka stale siedzi przy nim. Nie puszcza jej ręki. Dziewiętnastego lutego, jak zwykle wieczorem, leżeli bezwładnie, na tej długiej jedynej pryczy. Palił się, jak zwykle, kaganek bez klosza. Kaganek około dwunastej zgasł. W tej chwili usłyszeli westchnienie ojca. Kiedy zbudzili się rano, był już zimny. Zrozumieli, że to wtedy zapewne konał. Tak pierwszy zmarł – senior rodziny Korzeniewskich.

Do pracy zostaje właściwie sama Hanka i ten Jurek, któremu jednak pracy w kolchozie nie dają, bo ustawodawstwo jest robotnicze i dzieci ochrania. Podobno ochrania też kobiety ciężarne... ale na osiem dni przed porodem. Opuchła Ola leży w wiecznych ciemnościach na pryczy. Hanka na opuchniętych nogach chodzi do pracy.

Rozpoczyna się Wielki Piątek. Na tę chwilę już przedtem uprosiły i przygotowały lekarza – wygnańca z Polski, pracującego o trzy kilometry. Siedział przy położnicy cały dzień i całą noc. Nad ranem powiedział, że kurcze zanikają, że trzeba wieźć do szpitala. Hanka szła koło wózka. Ledwo Olę wzięli, trzeba było odjeżdżać. Hanka zaczęła się, wyczekała chwilę i wślizgnęła się do izby, w której leżała siostra. Z zapuchniętej twarzy przez wąskie szcze-

liny patrzyły nieruchome oczy. „Ola, czy dziecko rusza się w Tobie?”. Obrzmiałe wargi poruszają się bez dźwięku. Wreszcie – jakby z radiowego głośnika dopiero dochodzi głos, kiedy się lampy nażarzą: „Nie. Módl się, żebym umarła”. Ola powiesiła się na prześcieradle. Odcięto ją i odratowano. Dziecko wyszło martwe, a spuchlizna opadła. Szpital uważa, że już jest po porodzie i absolutnie grozi wyrzuceniem.

Rodzina Korzeniewskich była na południu – jej mężczyźni mieli niedaleko do wojska, bo koncentracja wojska następowała na południu. Ci, co mieli do przebycia tysiące mil, ginęli rodzinom z oczu. O ogromnych ich ilościach wiadomo w rodzinach, że wyjechali... i w wojsku, że nie dojechali.

Trzy dni czekała na stacji kolejowej pozostała rodzina: matka, Jurek i Antosia. Kiedy dojechali na rano czwartego dnia do Kernine, komendant polskiej placówki na dworcu, którym był współtowarzysz uralskiej niewoli Wnęć, skierował ich wprost do kostnicy: „jeśli Pani jeszcze chce zobaczyć córkę”. W kilka dni po otrzymaniu wiadomości o śmierci siostry Hanka, leżąca w stanie zupełnego wyczerpania, otrzymała list od Wnęćka. Przysłał go, korzystając, że z Kernine szła ciężarówka do Buchary po mąkę. Wzywał ją do skorzystania z ciężarówki i przyjechania do Kernine, bo „choć liczę na miłosierdzie boskie stan matki Pani jest bardzo zły”. Po trzydziestu sześciu godzinach niewysiadania z wozu, po czterdziestu ośmiu godzinach od otrzymania listu, Hanka dobrnęła do matki. I do Jurka. Antosia gdzieś zapadła w obozie dla wygnańców, gdzie łatwiej było zebrać o żywność. W uzbeckiej chałupie leżeli matka i syn. Chodzić już nie mogli. Opuchlizna z nich zeszała i zarysował się szkielet... straszne... jak wtedy u Oli... Jurek ma teraz twarz starego człowieka, całą w zmarszczkach. Dwa tygodnie Hanka pielę-

gnuje matkę. Pomaga jej przewracać się na drugi bok, bo chora nie ma już na to siły. Przychodzą chwile nieprzytomności, coraz dłuższe. Wreszcie biorą ją do szpitala. Odwiedza matkę co dzień; trzyma chorą za rękę, ale matka jej nie poznaje. Piątego dnia pobytu w szpitalu – był to 29 czerwca, 1942 roku – wchodzącą do szpitala spotkała jakaś wyfiokowana pielęgniarka: „O! Panna Heneczka... A pani mamusia już w kostnicy”.

...Trumien było brak. Pożyczano więc tylko trumnę na dowiezienie

dni jechali do Krasnowodzka. Jurek żył. Może się przesili? Są przecież lekarze... lekarstwa... dieta... To nie była lepianka Kara-Kul... W Krasnowodzku zanieśli go na noszach do ogromnej hali. Po hali idzie komisja sanitarna. Komisja sanitarna jest już coraz bliżej. Jurek zrobił ruch – chciał użyć dawnego tricku – powstać czy choćby sięść. Ale już nie mógł. Komisja – doszła. I ogłosiła wyrok: „Zostawić w Krasnowodzku”. „Ja zostanę z nim!” woła siostra. „Pani pojedzie. Doślemy go jak wyzdrowieje”.



Dzieci z sierocińca w Mujun-Kum FOT. ARCHIWUM

do cmentarza. Tam ciało wyjmowano z trumny i kładziono w dół, a trumna wracała. Jurek na pogrzebie nie był, Hanka na próżno starała się o jakieś deski. Wróciła i zaniemogła. Po dziesięciu dniach gorączka Hanki spadła. Ale Jurek zaczął mieć ataki serca. Dziewczyna cały wysiłek wkłada, aby go ratować. Przychodzi potworna biegunka. Chłopak czasami nie ma sił podnieść głowy. Zapisano ich na transport do Persji, jako sieroty. Znowu poczył się wyścig pomocy ze śmiercią. Wyjazd naznaczono na 7 sierpnia 1942 roku. Ale mogły jechać tylko dzieci zdrowe. Jurek zaciął zęby. „Pojadę” powiedział zdecydowanie. Ewakuacyjne rozkazy dotyczyły tylko tych dzieci, które miały jakąś szansę wyżycia i odratowania. Trzy

Potem jechała przez morze. Potem w porcie Pahlewi, na tamtej, perskiej stronie, trzy tygodnie kulgała w swoich podkutych butach od Polskiego Czerwonego Krzyża do Delegatury Ministerstwa Opieki Społecznej, od Delegatury do Ewidencji. Nigdzie nic nie wiedzieli o Jurku. Potem ją zawieźli do Teheranu, gdzie pracowała w polskiej świetlicy. Potem zachorowała na tyfus, na zakażenie krwi w nodze, a kiedy w końcu października odzyskała przytomność, otrzymała w Duszpasterstwie akt zejścia Jerzego Korzeniewskiego. Akt zejścia był wystawiony w dniu śmierci – 10 sierpnia 1942 roku – tego samego dnia, w którym zęgnęła się z „dzieckiem”. Takie były dzieje wymordowanej rodziny Korzeniewskich. ■

To była jedna z najbardziej brawurowych ucieczek więźniów w okresie stalinowskim. W nocy z 18 na 19 lutego 1945 r. z cieszącego się ponurą sławą Zamku Lubelskiego zbiegło 11 skazanych na śmierć żołnierzy AK. Przyłączyli się do nich pomagający w akcji strażnicy. Ucieczka odbiła się szerokim echem – nie tylko wśród polskich władz komunistycznych. Ludowy komisarz spraw wewnętrznych ZSRS, Ławrientij Beria, pisał w tej sprawie do samego Józefa Stalina. Po tym wydarzeniu do ochrony więzienia skierowano pluton NKWD, a przy narożnikach zamku ustawiono cztery czołgi.



STRACENICZA UCIECZKA SKAZANYCH NA STRACENIE

MACIEJ GELBERG

Ucieczki z zakładów karnych, szczególnie w pierwszych miesiącach wprowadzania władzy komunistycznej w Polsce, nie były czymś niezwykłym. Szacuje się, że tylko w 1945 r. zbiegło ponad 1100 uwięzionych. Choć w późniejszym okresie, ze względu na wzmocnienie ochrony więzień – czego domagał się m.in. Beria – podobnych akcji było coraz mniej, to jeszcze w 1955 r. ponad 200 osób uciekło z jednego z zakładów penitencjarnych. A tych było w nowej Polsce Ludowej coraz więcej. Wiosną 1945 r. pod kontrolą MBP znalazło się ponad 70 więzień i zakładów poprawczych, rok później ta liczba wzrosła do 113 placówek, a w ciągu następnych 12 miesięcy do 123.

Więziono 250 tys. ludzi

Wielkimi krokami zbliżaliśmy się ku wzorcom sowieckim, gdzie cały

kraj był zbudowany na gułagu. Dyrektor Departamentu Więziennictwa i Obozów, ppłk Dagobert J. Łańcut, 1 grudnia 1945 r. chełpił się nawet, że gdyby na mapę Polski nanieść siatkę więzień i obozów, to: – *okaże się, że Polska jest jednym wielkim więzieniem*. O skali terroru w okresie stalinowskim świadczą przerażające liczby. Od połowy lat 40. do początku 50. przetrzymywano za kratami i w obozach pracy ponad 250 tys. ludzi.

Warunki we wszystkich więzieniach stalinowskich były straszne. Normą było zamykanie czterech skazanych w celi dwuosobowej oraz sześciu lub ośmiu w celach trzy-, czteroosobowych. Więźniowie spali na materacach rozłożonych na betonowych podłogach, choć często nawet takiej wygody brakowało. Przykrywali się starymi, śmierdzącymi kocami, będącymi siedliskiem insektów. Potrzeby fizjologiczne załatwiane były do kubłów i wiader. Skazanym doskwierał nieprawdo-

podobny głód. Racje żywnościowe były symboliczne: 0,5 l gorzkiej kawy rano plus kromka chleba na śniadanie, miska lury przypominającej zupę na obiad oraz ponownie kawa na kolację. Gdy dodać do tego, że większość z zatrzymanych więźniów

” Więźniowie spali na materacach rozłożonych na betonowych podłogach, choć często nawet takiej wygody brakowało. Przykrywali się starymi, śmierdzącymi kocami, będącymi siedliskiem insektów

politycznych miała za sobą wielogodzinne przesłuchania, w których normą było bicie i wyrafinowane tortury, to po krótkim czasie pobytu w więzieniu stawali się oni wrakami ludzi.

Nic więc dziwnego, że w zakładach karnych bardzo często pojawiały się pomysły ucieczek. Nie wszystkie udało się zrealizować, ale spektakularnych sukcesów nie brakowało.

Wielkie uciezki

Do legendy przeszła udana próba odbicia skazanych z więzienia św. Michała w Krakowie (18 sierpnia 1946 r.). W samym centrum miasta przeprowadził ją oddział dowodzony przez Jana Janusza „Siekierę”. Cała akcja trwała nie więcej niż pół godziny. Bez jednego wystrzału udało się uwolnić 64 osoby. Byli to głównie więźniowie polityczni – żołnierze podziemia niepodległościowego.

Dwa razy więcej więźniów uciekło cztery miesiące później z zakładu śledczego w Słupsku. Jeszcze bardziej spektakularnym wyczynem mógł poszczycić się kpt. Antoni Heda „Szary”, który odbił zbrojnie od 600 do 700 osób z więzienia kieleckiego. W podobnej akcji w Radomiu oddziałowi por. Stefana Bembińskiego „Harnasia” udało się uratować

blisko 300 aresztowanych i skazanych.

Szeroki rozgłos w środowisku politycznym zyskała także – niestety, nieudana – próba ucieczki z celi śmierci w warszawskim zakładzie karnym na Mokotowie z przełomu 1948 i 1949 r. Akcję zaplanował mjr Hieronim Dekutowski „Zapora”. W przygotowaniach uczestniczyli wszyscy mieszkańcy celi, w tym również ci odsiadujący wyroki za przestępstwa kryminalne. Pomysł był prosty. Więźniowie postanowili wywiercić otwór w suficie, a następnie przez strych i dachy niższych kondygnacji budynku dotrzeć poza mury zakładu karnego. Prace prowadzono nad kibelem, w miejscu niewidocznym przez tzw. judasza. Ze względów bezpieczeństwa starano się to robić tylko nocą. W ciągu dnia dziura była zasłaniana papierem pokrytym papką z pasty do zębów. Gdy już wszystko było gotowe, wśród więźniów wybuchł konflikt. Kością niezgody okazała się kolejność ucieczki. Jeden z kryminalnych domagał

się włączenia do pierwszej piątki. Gdy spotkał się z odmową, postanowił zademonstrować całą grupę konspiratorów.

Najczęściej próbowali uciekać więźniowie skazani na karę śmierci. Nie mając nic do stracenia, zdecydowani byli podjąć największe ryzyko. Tak było w Lublinie. Jednak zamek, w którym mieścił się zakład karny, wydawał się twierdzą, z której nie sposób było zbiec.



22 lipca 1944 r. Niemcy zamordowali w Lublinie 300 więźniów. Trzy dni później na zamku pojawili się nowi zatrzymani, tym razem przez sowieckiego okupanta. FOT. ARCHIWUM



Najpierw Niemcy, potem Sowieci

Swoją funkcję penitencjarną pełnił od czasów Królestwa Kongresowego. W latach 1831–1915 było tu więzienie carskie, w którym przetrzymywano głównie uczestników walk o niepodległość, m.in. powstańców styczniowych. W okresie II RP nadal znajdował się tutaj zakład karny, tyle tylko, że standard, w którym przetrzymywano osadzonych, stale się poprawiał – była kaplica, stworzono też salę szkolną. We wrześniu 1939 r. w czasie bombardowania przez Niemców Lublina, cele zostały otwarte, a więźniowie wypuszczeni na wolność. Takie opuszczone budynki zastali wkraczający do miasta okupanci.

Nie trzeba było długo czekać, żeby Zamek Lubelski znów zappełnił się więźniami. Naziści stworzyli tu jedną z najgorszych katowni. W ciągu pięciu lat przez jej mury przewinęło się 40 tys. osób, głównie członków ruchu oporu. Duża część z nich zginęła potem w egzekucjach i obozach śmierci. Tuż przed opuszczeniem miasta, 22 lipca 1944 r., Niemcy dokonali masowego mordu 300 więźniów.

Nie została nawet dokładnie zmyta z podłóg krew zabitych, kiedy do zakładu karnego „wprowadzili się” nowi lokatorzy. Już 25 lipca komendantura sowiecka skierowała do cel pierwszych więźniów. Na początku byli to kolaboranci, volksdeutsche lub zwykli kryminaliści. Szybko jednak pojawili się więźniowie polityczni. Przez pierwsze miesiące instalowania się nowej „ludowej” władzy Zamek Lubelski otrzymał status niemal centralnego więzienia dla ziem, które znalazły się pod władzą Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Ale podlegał on wówczas NKWD i Smierszowi, pełniąc funkcję więzienia śledczego, miejsca kaźni, a także etapu przejściowego do deportacji do sowieckich łagrów.



Więźniowie lubelskiego zamku straceni w latach 1944–1954. W latach tych przetrzymywano na zamku w Lublinie ok. 35 tys. osób. Spośród 515 wydanych wyroków śmierci wykonano 333. FOT. ARCHIWUM

„ Nie trzeba było długo czekać, żeby Zamek Lubelski znów zappełnił się więźniami. Naziści stworzyli tu jedną z najgorszych katowni. W ciągu pięciu lat przez jej mury przewinęło się 40 tys. osób

Głód, smród, brud i wszelkie możliwe choroby

Łącznie w latach 1944–1954 przetrzymywano w Lublinie ok. 35 tys. osób. Spośród 515 wydanych tutaj wyroków śmierci wykonano 333. Pierwsze egzekucje miały miejsce już w listopadzie 1944 r. Sowieci bardzo szybko i sprawnie rozpracowali struktury Komendy Okręgu AK Lublin, doprowadzając jesienią 1944 r. do jej całkowitego niemal rozbicia. Było to wynikiem zarówno ujawnienia się struktur dowódczych Armii Krajowej podczas akcji „Burza”, jak i represji po wkroczeniu do Polski Sowieców, a także stworzenia przez komunistów siatki konfidentów. Szybko rozpoczęły się pacyfikacje wsi oraz miasteczek, w czasie których zatrzymano wskazanych przez kolaborantów członków podziemia.

Przewożeni na zamek ludzie często byli już po wyrokach, które wydawały wojskowe sądy doraźne na sesjach wyjazdowych. Po przybyciu na miejsce trafiali do baszty, gdzie przechodzili trwającą do dwóch tygodni kwarantannę. Panowały tam makabryczne warunki. Cele były tak przepełnione, że osadzeni mogli spać tylko na boku, przewracając się na komendę. O siennikach można było pomarzyć, wszyscy leżeli na betonie. Panował głód, smród, brud i różne choroby. Po kwarantannie więźniów rozdzielano do cel. Tam wcale nie było lepiej. Jak wspomina Eugeniusz Rusinek, w jego celi o wymiarze 10 x 11 m przetrzymywano nawet 278 skazanych. Okna na stałe były otwarte, co sprawiało, że ci, co spali blisko nich, chorowali na zapalenie płuc, a znajdujący się bliżej drzwi dusili się, nie mając czym oddychać.

Największa szykana?

Cela z esesmanem

O jedzeniu nawet nie warto wspominać. Za kubek, talerz i łyżkę służyła blaszana puszka po konserwie. Gdyby nie paczki z domu, więźniowie pomarliby z głodu, nie sposób bowiem było przetrwać na zupie z obierków ziemniaków i brukwi, które w dodatku najczęściej były zepsute. Sam zapach tej lury, nie mówiąc o smaku, tak odrzucał, że nie

dało się tego przełknąć. Szykanowanie więźniów było na porządku dziennym i miało różne formy. Do jednych z nich należało zamykanie osadzonych w karcerze. Było to pomieszczenie 1,1 x 1,2 m z betonową podłogą, bez okien. By dostać się do środka, więzień musiał się przecisnąć na kolanach. Wewnątrz zawsze panowała niska temperatura i znajdowała się woda, dolewana systematycznie przez strażników. W karcerze umieszczano rozebranych więźniów na 24 godziny, choć zdarzało się, że i na dłużej.

Szczególą formą upokorzenia więźniów politycznych było zamykanie ich w celach razem z Niemcami. Wśród nich sporą grupę stanowili funkcjonariusze SS, również ci z załogi Majdanka, oraz kadra dowódcza lubelskiego gestapo. W zamku znajdowało się pięć tzw. cel śmierci. W każdej z nich przebywało od 4 do 6 skazańców, którzy oczekiwali na wykonanie wyroku od kilku dni do nawet kilkunastu miesięcy. To wśród nich znaleźli się śmiarkowie, którzy w nocy z 18 na 19 lutego 1945 r. dokonali brawurowej ucieczki.

Nie obyło się bez ofiar

Nie wiemy zbyt dużo o tej akcji. Choć minęło już tyle lat, nadal jest więcej pytań niż odpowiedzi. Pewne jest, że z zakładu karnego zbiegło 11 więźniów osadzonych w celi 2 i 3. Wśród uwolnionych byli znani i popularni oficerowie AK z Lubelszczyzny skazani przez NKWD na karę śmierci: kpt. Stefan Dębicki „Kmicic”, komendant Obwodu Lublin-Miasto; mjr Konstanty Witkowski „Müller”, komendant Obwodu Radzyń; ppor. Kazimierz Burski „Konrad II”, który po aresztowaniu „Kmicica” zastąpił go na stanowisku komendanta Obwodu Lublin-Miasto. Wśród uwolnionych był również cichociemny, ppor. Mieczysław Kwarciński „Ziut”. Wraz z nimi uciekło 12 żołnierzy Batalionu Ochrony

Jeńców na czele z dowodzącym akcją plut. Józefem Mazurkiewiczem „Ryszardem”, dawnym partyzantem oddziału por. Stanisława Łokuciewskiego „Małego”.

Najprawdopodobniej inicjatorem ucieczki był Leon Majchrzak „Dzieciół”, który 13 lutego otrzymał od sprzyjających więźniom wartowni-

” W zamku znajdowało się pięć tzw. cel śmierci. W każdej z nich przebywało od 4 do 6 skazańców, którzy oczekiwali na wykonanie wyroku od kilku dni do nawet kilkunastu miesięcy



Więźniowie opuszczają zamek w Lublinie na mocy amnestii z 22 lutego 1947 r. FOT. ARCHIWUM

ków broń i klucze do cel. Podczas ucieczki nie obyło się bez ofiar. Zostali zabici dowódca warty i jeden ze strażników. Nie wiadomo, jak ucieczka koordynowana była z zewnątrz. Według jednej z hipotez akcję przygotowywano z zamiarem odbicia przede wszystkim słynnego cichociemnego, ppor. Czesława Rościńskiego „Jemioły”, ale ze względu na to, że znajdował się on jeszcze w areszcie śledczym UB, a żołnierze przygotowujący akcję mieli być przeniesieni poza Lublin, zdecydowano się uwolnić innych więźniów.

Nie wszyscy skazani na śmierć zdecydowali się na ucieczkę. W celi pozostał Józef Briks-Wigurski „Boruta”. Nie wiadomo, czym się kierował, ale ta decyzja uratowało mu życie. Już w więzieniu we Wronkach napisał prośbę o ulaskawienie, która przez Bieruta – przy poparciu Józefa Różańskiego – została uwzględniona: karę śmierci złagodzone mu do 10 lat więzienia. Podobny los i wyrok spotkał Konstantego Witkowskiego, który po kilku dniach od ucieczki sam zgłosił się na milicję. Los innych uciekinierów był najczęściej tragiczny. Albo – jak Stefan Dębicki, Leon Majchrzak, Stanisław Gębala – zginęli w kolejnych miesiącach podczas walk z funkcjonariuszami UB, albo – jak Antoni Wieczorek – trafiali z powrotem do Zamku Lubelskiego, gdzie dokony-

wano na nich egzekucji. Najwięcej szczęścia miał Mieczysław Kwarciński, któremu udało się przedostać na Zachód.

A Zamek Lubelski? Rolę katowni pełnił do 1954 r. Potem przeprowadzono w nim prace remontowe i przeznaczono go na cele kultury. Od 1957 r. jest siedzibą główną Muzeum Lubelskiego. ■



Przygotowano we współpracy z Narodowym Archiwum Cyfrowym www.nac.gov.pl

Szli z nami Dzygici poprzez wszystkie lata
Od granic Złotej Ordy, do bram Nowogródka
Szli zawsze kiedy bojów grała pobudka
Za Polskę, co Tatarą przyjęła za brata.

Fragm. wiersza Antoniego Bogustawskiego
(poety, pisarza, ppłk. dypl. WP)

Wierni ułańi

WOJCIECH LEWICKI

Jak się powszechnie przyjmuje, początki mniejszości tatarskiej na ziemiach Rzeczypospolitej sięgają początków XV w., choć według franciszkańskiego kronikarza irlandzkiego pochodzenia, Luke Waddinga, nastąpiło to nieco wcześniej – ich pierwsze osady istniały tu już ponoć w 1324 r. Niemniej następujący wówczas rozpad Złotej Ordy, dzielącej się na rywalizujące ze sobą plemiona, doprowadził do tego, że na Litwę zaczęło z czasem przybywać coraz więcej tatarskich rodów. Nie ulega wątpliwości, że prekursorem ich osadnictwa był książę Witold, chcący zabezpieczyć swoje państwo przed zagrożeniem krzyżackim. Rozmieszczenie najstarszych tatarskich wsi wzdłuż dawnej granicy pruskiej wyraźnie wskazuje, że od samego początku to zasiedlenie miało charakter wojskowy – spełniało funkcję swego rodzaju strażnic, zabezpieczając takie miasta, jak Wilno, Grodno czy Troki,



Od XV w. Tatarzy tworzyli własne oddziały w ramach wojsk Rzeczypospolitej (najpierw Obojga Narodów, później już tylko polskich). Przez 600 lat zawsze stawali do walki, gdy tylko nowa ojczyzna była w potrzebie. Ich szable szczybiły się na Krzyżakach, Szwedach, Turkach, pobratymcach ze Złotej Ordy, Moskalach czy Niemcach. Choć nieliczni, byli jedyną mniejszością narodową, która pod własnym sztandarem (w tym przypadku akurat buńczukiem) broniła granic Rzeczypospolitej. Na przełomie stycznia i lutego 1919 r. zapadła decyzja o utworzeniu pułku jazdy tatarskiej – ostatniej samodzielnej jednostki muzułmańskiej WP. Choć jej historia nie zakończyła się happy endem, nie było tryumfalnej defilady, a raczej zgrzyty i złorzeczenia – polscy Tatarzy nadal pozostali wierni Rzeczypospolitej. Jeszcze w 1939 r. stworzyli i wystali do walki z Niemcami ostatni własny oddział – szwadron z 13. pułku ułańi.

od zachodu. Ponadto w okresie zagrożenia wojennego na Tatarach ciążył obowiązek formowania własnych oddziałów. Każdy powołany do służby musiał się stawić konno, a jeśli nie miał konia – jak głosiło rozporządzenie ks. Witolda – miał sprzedać żonę lub dzieci i go kupić.

Za swą wierną służbę Tatarzy mieli zagwarantowaną wolność osobistą i wyznania, otrzymali przydziały ziemi oraz zgodę na małżeństwa z chrześcijankami (do końca swoich dni zachowywały one prawo pozostania przy wierze ojców, podczas gdy potomstwo

zrodzone z tych związków z woli ojca najczęściej było muzułmanami). Co ciekawe, zrodziła się wówczas tradycja, że ci islamscy wojownicy często przyjmowali nazwiska żon – stąd tatarskie rody: Kryczyńskich, Talkowskich, Taraszewskich, Koryckich, Baranowskich, Oleszkiewiczów czy Sulkiewiczów.

Ludność tatarska zamieszkująca Litwę, a później Rzeczpospolitą Obojga Narodów dzieliła się na trzy zasadnicze grupy. Na jej szczycie stali potomkowie ordyńskich sułtanów i mirzów, którzy przybyli tutaj

wraz ze swoimi orszakami. Tytułu „sultan” (na Krymie przysługujący synom i braciom chanów) na Litwie mogły używać tylko dwa rody: Ostryńskich i Puńskich, zwyczajowo nazywane carewiczami. Tytuł „mirza” (odpowiednik księcia) przysługiwał już znacznie większej liczbie rodzin i przetrwał w tej mniejszości narodowej do naszych czasów. Zarówno jednak jedni, jak i drudzy zostali w swych prawach niemal zrównani ze szlachtą – różnica (wg „Statutu Litewskiego”, uchwalonego w 1566 r. na sejmie brzeskim) polegała np. na wysokości główstczyzny, czyli kary za zabicie innego szlachcica, czy – co chyba bardziej dotkliwe – konieczności uzyskania zgody na sprzedaż ziemi. Drugą ich warstwę społeczną tworzyli Tatarzy-kozacy, wywodzący się z prostych wojowników, przybyłych w orszakach magnackich. Poza obowiązkiem wojskowym ciążyła na nich również służba kurierska, „policyjna”, transportowa, a nawet budowlana (np. osada Sorok Tatarzy musiała naprawiać trakt od Rudnik po Wakę). Z czasem na przedmieściach niektórych miast zaczęli osiedlać się też potomkowie jeńców, tworząc własne kolonie zwane kątami tatarskimi (np. Wilno, Ostróg, Mińsk, Troki, Augustów, Grodno).

Spółeczność tatarska w Rzeczypospolitej nigdy jednak nie była zbyt liczna – w odróżnieniu od Żydów, Rusinów (dopiero od XIX w. nazywanych Ukraińcami), a nawet Ormian. Na podstawie spisu z 1528 r. na Litwie mieszkały zaledwie 544 ich rodziny zobowiązane do służby wojskowej. Uwzględniając tatarskich mieszczan, na których nigdy nie ciążyła taka posługa, Olgierd Górski wyliczył („Uwagi orientacyjne o Tatarach polskich i obcych”, Zamość 1935 r.), że w XVI w. było ich nie więcej niż 7 tys., a sto lat później – 9 tys. osób. W okresie międzywojennym (II RP) w Polsce mieszkało ok. 5,5 tys. Tatarów.

Lipki

Przez lata polskich, a w zasadzie litewskich Tatarów (większość z nich mieszkała na Wileńszczyźnie i No-

nie dziesięcioletniej, podczas której 600 z nich, zorganizowanych w chorągiew nadworną Kazimierza Jagiellończyka, wkroczyło do Prus Wscho-



Rotmistrz tatarski z 1660 r. i żołnierze szwadronu tatarskiego pułku szwoleżerów gwardii Napoleona ILLUSTRACJE W.G. RYDIN BRONISŁAWA GEMBARZEWSKIEGO

wogródzczyźnie) nazywano Muślinami bądź Lipkami (od Litwy tak określanej przez Turków). Od czasu Grunwaldu zawsze stawali oni po naszej stronie. Początkowo tworzyli chorągwie lekkiej jazdy: juszczyńską, najmańską, kondradzką, bahryńską czy ułańską, których nazwy – poza ostatnią – pochodziły od plemion Złotej Ordy. W przypadku ułańców było nieco inaczej. Wywodzi się ona od słowa „uhlan” lub „ahlan”, oznaczającego młodzieńca z arystokratycznego rodu książęcego, według niektórych badaczy jest to „przydomek” przysługujący wyłącznie potomkom Czyngis-chana. Tak czy inaczej tylko ta ostatnia nazwa przetrwała do naszych czasów, odciśkając zresztą swoje piętno na historii Rzeczypospolitej – jak widać, istniejące kilka wieków później polskie już pułki ułańców miały pełne prawo uważać się za jednostki elitarne.

Litewscy Tatarzy brali udział we wszystkich bataliach z Krzyżakami, aż do 1426 r., jak również w woj-

dnich. Po pół wieku ponownie stanęli do walki z zakonem krzyżackim, choć już mniej licznie – raptem w 300 koni. Nie uchylili się nawet od nieudanej wyprawy na Śląsk, a zwłaszcza licznych wojen z pobratymcami ze Złotej Ordy. Szli z nami na Inflanty, Chmielnickiego i Moskali. W bitwie pod Kircholmem (1605) brało udział 5 ich chorągwi tatarskich, liczących przeszło 500 jeźdźców.

Początkowo nasi „rodzimi” Tatarzy uczestniczyli we wszystkich wojnach toczonych przez Rzeczypospolitą na zasadzie przyjętego na siebie wojskowo-osiedleńczego obowiązku. Dopiero od połowy XVI w. zaczęto tworzyć ich zaciężne chorągwie, znacznie tańsze w utrzymaniu od lekkiej jazdy litewskiej czy polskiej. Ale i te koszty nie zawsze były na czas regulowane przez skarb królewski. Doprowadziło to do jedyne- go w kilkusetletniej historii wspólnego współzycia sprzeciwu Tatarów względem swojej nowej ojczyzny



Bliskim współpracownikiem Józefa Piłsudskiego był Tatar Aleksander Hozman-Mirza Sulkiewicz.

To on zorganizował ucieczkę przyszłego marszałka ze szpitala w Petersburgu i bezpiecznie przeprowadził go do Galicji. Zginął 18 września 1916 r. pod Sitowiczami, jako sierżant 5. pułku piechoty I Brygady Legionów. W 1935 r. jego ciało zostało ekshumowane i z honorami pochowane na wojskowych Powązkach w Warszawie. W uroczystościach uczestniczył gen. Edward Śmigły-Rydz, który udekorował trumnę Orderem Virtuti Militari.

600 lat wspólnej służby w obronie Rzeczypospolitej spowodowało, że tradycje tatarskie głęboko zakorzeniły się w Wojsku Polskim. Do ogólnowojskowej symboliki wszedł buńczuk. W okresie międzywojennym posiadało go kilka brygad kawalerii, a nawet szwadrony Przystosobienia Wojskowego

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

– tzw. buntu Lipków z 1672 r., którzy pod Kamieńce Podolskim przeszli na stronę turecką (o tym epizodzie, zresztą niezbyt wiarygodnie, pisał w swojej trylogii Henryk Sienkiewicz – sam mający ponoć tatarskie korzenie). Kilka lat później, po traktacie żórawińskim, część z nich ponownie znalazła się pod skrzydłami Rzeczypospolitej, a wszelkie winy zostały im wybaczone.

Nie trzeba było długo czekać, by powrót Tatarów na łono macierzy przyniósł owoce. Do legendy przeszedł wyczyn Samuela Mirza Krzeczowskiego, który w bitwie pod Wiedniem miał uratować życie Jana III Sobieskiego. Pięć lat później, w 1688 r., król jadąc na sejm do Grodna, w dowód wdzięczności podobno odwiedził swego wybawcę i stanął u niego na obiad.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

Koniec świata szwoleżerów

Tak jak wcześniej, również za dynastii Sasów polscy Tatarzy wykazywali się przywiązaniem do swojego przybranego państwa. Na początku XVIII w., za panowania króla Augusta II, płk Aleksander Ułan stworzył odrębny pułk jazdy, walczący ze Szwedami i stronnikami Leszczyńskiego. Dla rzetelności historycznej trzeba jednak przypomnieć, że w tym czasie i po drugiej stronie tej – co tu mówić – wojny domowej także walczyli Tatarzy, za co zresztą później spadła na nich lawina złorzeczeń, a czasem i prześladowań. Wystąpiła wówczas (pierwsza i ostatnia) swego rodzaju „reemigracja” części tatarskich rodów do Turcji, co wiązało się z przejściem ich posiadłości. Tyle tylko, że strata tych dóbr, zazwyczaj zresztą nadawanych ponownie innym tatarskim rodom – była raczej skutkiem, a nie przyczyną wyjazdów.

Z tym okresem historycznym wiąże się z pewnością, przynajmniej etymologicznie, określenie ułan. Jak już wcześniej wspomniałem, początkowo był to tytuł przysługujący potomkom Czyngis-chana. Posługiwali się nim kniaziowie Assanczukowiczowie, Fursowicze, Maluszycy i Rudniccy. Z czasem jedna z gałęzi Assanczukowiczów tytuł ten przekształciła w nazwisko. Wielu przedstawicieli tej rodziny „położyło głowę” w obronie Rzeczypospolitej, a ich najsłynniejszym przedstawicielem był bez wątpienia wspomniany wyżej Aleksander Ułan. Stworzony przez niego pułk po wojnie domowej 1715–1716 r. został przeniesiony do armii saskiej, stanowiącej gwardię przyboczną króla. Nawet po śmierci pułkownika, gdy komendę nad jednostką przejął mjr Czymbaj Murza Rudnicki, oddział ten nadal nazywano „wojskiem ułanowym”.

Trzy dekady później wybuchła wojna między Prusami a Saksonią, w której Rzeczpospolita – przy-

najmniej formalnie – pozostała neutralna. Mimo wszystko wzięły w niej udział polskie pułki, w tym dwa tatarskie – Rudnickiego i Aleksandra Mustafy Koryckiego, tym razem już oba nazywane ułanami. Sławę przyniosła im nie tylko bitność, ale i nowa taktyka. Swoje piętno na historii wojskowości odcisnęli głównie przywróceniem zapomnianej od



Obraz „Taniec tatarski” Juliusza Kossaka



Powitanie prezydenta RP Ignacego Mościckiego na Kresach Wschodnich przez Tatarów. Nowogródek wrzesień 1929 r. FOT. WITOLD PIKIEL / NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

lat szarzy. Używając lanc, zaopatrzonych w niewielkie proporczyki, które podczas cwału wywoływały szum płoszący konie przeciwnika – przebijali się przez wrogie szanice. Choć zasadniczo sam pomysł nie był niczym nowym (stosowała go przecież kilka wieków wcześniej choćby husaria) – od kilku stuleci w kołach dowódczych całej Europy przeważało przekonanie o wyższości siły ognia nad manewrem. Hołubiono więc piechotę i artylerię, jeździe przydzielając jedynie zadania poboczne – ochronę skrzydeł, zdobywanie „języka” i oczywiście pościg. Dopiero więc pierwsze szarże ułańskie zmieniły to nastawienie, czego dowodem jest choćby Samosierra. Jakkolwiek by na to patrzeć, od końca XVIII w., na wzór tatarski, wszystkie pułki lekkiej kawalerii przystosowane do frontalnych natarć zaczęto nazywać ułanami.

W tym aspekcie warto przypomnieć, że kilkadziesiąt lat później rtm. Samuel Ułan w 1812 r. sformował na Nowogródzczyźnie szwadron jazdy tatarskiej. Po roku wszedł on w skład słynnego pułku polskich szwoleżerów, będącego strażą przyboczną Napoleona (opisanego w powieści Mariana Brandysa „Kozietulscy i inni” oraz „Koniec świata szwoleżerów”).

W wojnie z bolszewikami

Na przełomie stycznia i lutego 1919 r. Józef Piłsudski wydał rozkaz, a w zasadzie zgodę, na formowanie pułku jazdy tatarskiej. Początkowo tworzenie tego oddziału szło dość opornie, bowiem ci polscy wyznawcy islamu, wcześniej w większości poddani cara, jeszcze nie wrócili z wielkiej wojny. Stopniowo na front wysyłano więc kolejne szwadrony i dopiero na jesieni, po wcie-

Pod koniec lat 30. XX w. na warszawskiej Ochocie Tatarzy chcieli wybudować meczet. Uzyskali już konieczne zgody, gromadzili fundusze. Gdy jednak nad Polską zawisła groźba nowej wojny, a całe społeczeństwo zbierało pieniądze na dozbrojenie wojska – Komitet Budowy jednogłośnie zdecydował o przekazaniu uzbieranej już kwoty na Fundusz Obrony Narodowej.

leniu Kazachów i Azerbejdżan, stworzyli oni w pełni wartościową, odrębną jednostkę. Na swojego patrona przyjęli płk. Mustafę Achmatowicza – dowódcę 4. pułku ułanów tatarskich, poległego w bitwie pod Maciejowicami w 1794 r.

Wiosną 1920 r. pułk tatarski brał udział w wyprawie na Kijów, potem walczył nad rzeką Teterew, bronił przepraw przez Uszę i Ubożec. Zmuszony do odwrotu za Horyń poniósł ogromne straty, a jego stan skurczył się do zaledwie 100 żołnierzy. W lipcu został więc wycofany z frontu, by w głębi kraju uzupełnić stany i przejść reorganizację. Następnie został włączony do Grupy Operacyjnej „Dolna Wisła” gen. Mikołaja Osikowskiego i skierowany do obrony przepraw od Płocka do Wyszogrodu i utrzymania łączności pomiędzy załogami obu miast.

Podczas obrony Płocka część żołnierzy pułku uległa panice, tak opisanej przez gen. Osikowskiego w meldunku z 2 września 1920 r.: *– Jazda Tatarska dnia 19 i 20 ubiegłego miesiąca w mieście Płocku okryła się hańbą. Świadkiem byłem, jak 20-ego pół szwadronu Jazdy Tatarskiej z obnażonymi szablami galopował przez miasto ku mostowi z dzikim okrzykiem, co wywołało nieopisaną panikę wśród ludności cywilnej, która w ciągu kilku godzin opuściła tłumnie miasto, udając się na lewy brzeg Wisły.*

Podobny, choć nieco mniej emocjonalny obraz tamtych wydarzeń wylania się z relacji por. Jana Matuszka, oficera sztabowego 20. DP, napisanej 22 sierpnia: *– W ciągu*

nocy z dn. 19 na 20 podczas obrony środka miasta, tylko szczupła ilość tatarskiej jazdy, pod dowództwem rtm., swego d-cy, broniła dzielnie miasta od strony wschodniej. Część – i to znaczna – skupiła się koło mostu, ustawicznie przez któregoś z oficerów popędzana do szańców, z których wkrótce zniknęła, ciągle głośząc alarmujące i fałszywe meldunki u mjr. Mościckiego. Reszta tatarskiej jazdy uciekła przez most na południowy brzeg Wisły.

Tymczasem wspomniany mjr Janusz Mościcki (dowódca płockiego przedmościa) całą sprawę przedstawia w znacznie mniej dramatyczny sposób: *– Melduję, że popłoch w dniu 19 VIII w Płocku wywołało kilku koniowodów z pułku jazdy tatarskiej oraz pluton tejże jazdy, goniący z obnażonymi szablami przez miasto ku mostowi. Dowódcy szwadronów energicznie starali się powstrzymać ten bezprzyczynowy popłoch.*

Konsekwencją tego wydarzenia jest rozkaz z 10 września rozwiązujący pułk; 200 jego żołnierzy zostało wcielonych do szwadronu zapasowego 13. Pułku Ułanów Wileńskich, a pozostali znaleźli się w szeregach nowo utworzonego Dywizjonu Mahometańskiego, istniejącego do 1922 r.

Ostatni oddział

W 1936 r., w wyniku starań społeczności tatarskiej, prezydent Mościcki zdecydował o ponownym utworzeniu formacji tej mniejszości narodowej w Wojsku Polskim. Od tego czasu I szwadron 13. pułku ułanów nosił nazwę „Szwadron Uła-

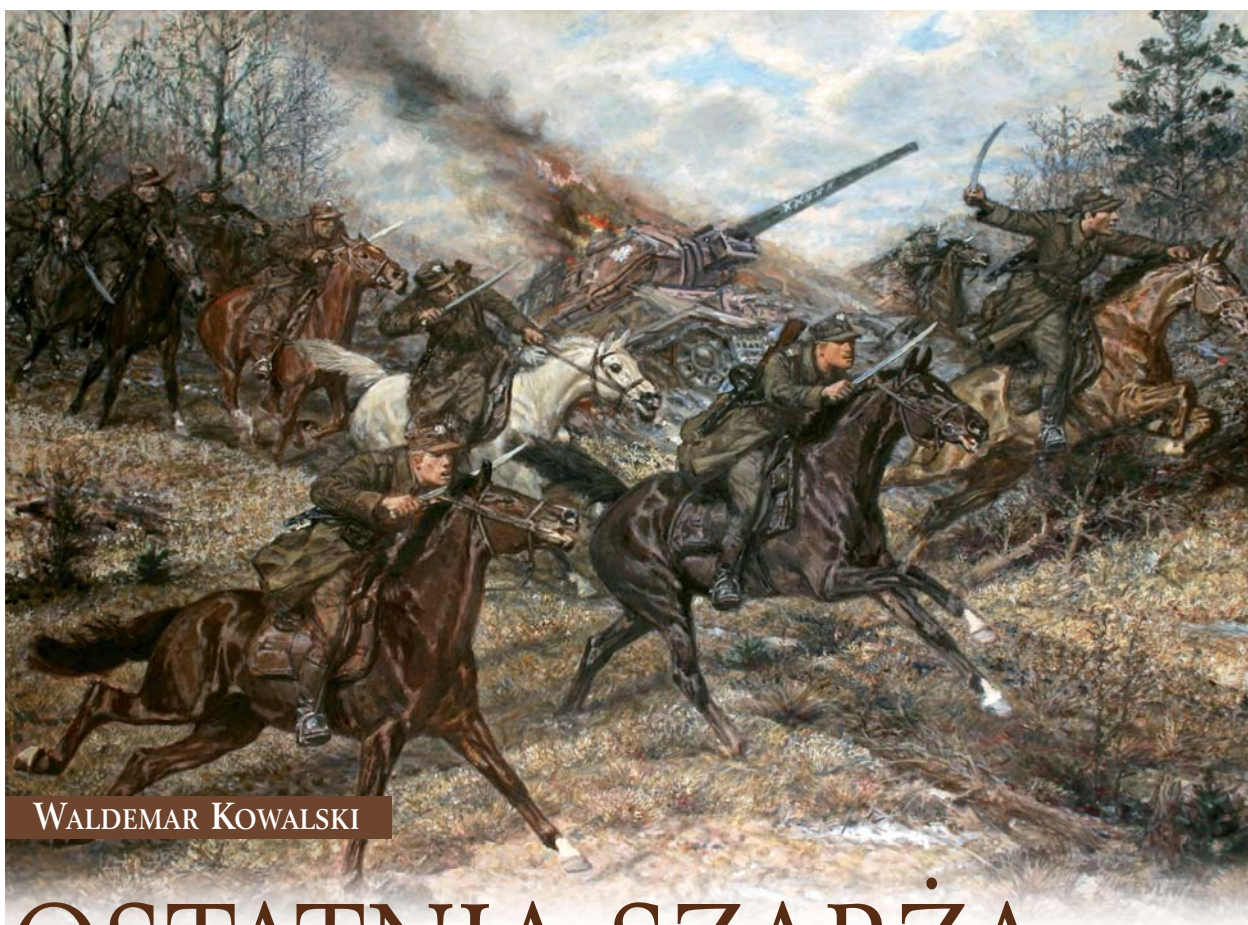
nów Tatarskich”. Złożył on uroczystą przysięgę 13 grudnia, a w lipcu 1937 r. otrzymał buńczuk.

W 1939 r. 13. pułk ułanów, wchodzący w skład Wileńskiej Brygady Kawalerii, przydzielono do Armii „Prusy”. Po jej rozbiciu pod Piotrkowem i Tomaszowem, ocalałe oddziały skierowały się za Wisłę. Szwadron tatarski wraz ze swą jednostką przeprawił się 9 września w rejonie Wilczkowic i Magnuszowa. Następnego dnia w okolicach Maciejowic pułk natknął się na duży oddział Wehrmachtu, a nasi Tatarzy mieli ponoć przeprowadzić swoją ostatnią w dziejach szarżę. Pisał o niej Wojciech Pogonowski w artykule „Od ucha tni” (Polityka, 4 listopada 2009 r.): *– „W kampanii wrześniowej 1939 r. szwadron jazdy tatarskiej pod dowództwem rotmistrza Jeljaszewicza nasiekał szablami dwa furazowe kosze uszu żołnierzy niemieckich” – mówi pisarz Włodzimierz Paźniewski. W takich kosztach woziło się chleb dla całego pułku. Mogły pomieścić i kilka tysięcy małżowin tym sposobem ugar nierowanych w makabryczną mizerię. Żadne inne źródła historyczne nic nie wspominają o tym epizodzie. Zresztą, co tu kryć, wydaje się to mało prawdopodobne – zwłaszcza zważywszy na fakt, iż Niemcy cały czas walczyli w helmach, a i podane wielkości budzą poważne wątpliwości.*

W kolejnych dniach 13. pułk ułanów walczył pod Włodawą i Suchowolą na Lubelszczyźnie. Pod Medyką 28 września jednostka została rozwiązana, a wraz z nią I Szwadron – ostatni tatarski oddział Wojska Polskiego. Buńczuk został ukryty i nie odnaleziono go do dzisiaj. ■



Przygotowano we współpracy z Narodowym Archiwum Cyfrowym www.nac.gov.pl



FOT. OBRAZ „OSTATNIA SZARŻA KAWALERII POLSKIEJ” MICHAŁ BYLIŃA / ZE ZBIORÓW MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO W WARSZAWIE

WALDEMAR KOWALSKI

OSTATNIA SZARŻA POLSKIEJ KAWALERII

Dokładnie 70 lat temu polscy kawalerzyści przeprowadzili swą ostatnią w dziejach szarżę. Do historii przeszli pod wsią Borujsko (Schönfelde) na Pojezierzu Wateckim, kiedy dwoma szwadronami zaatakowali pozycje Niemców. Wróg nie spodziewał się natarcia jazdy, sukces był całkowity.

Szarża 1. Warszawskiej Samodzielnej Brygady Kawalerii zapisała się na kartach historii polskiej jazdy, choć dziś jest mało znana. Miejscowość, pod którą doszło do historycznego ataku, zmieniła po wojnie nazwę. Na współczesnych mapach Polski widnieje jako Żeńsko w powiecie drawskim (województwo zachodniopomorskie). Mało kto wie, że pod tą wsią równo 70 lat temu kończyła się epopeja polskiej kawalerii. Formacji, która przez wieki wielokrotnie przełamywała szeregi wroga.

1. Warszawska Samodzielna Brygada Kawalerii

Formowanie 1. Warszawskiej Samodzielnej Brygady Kawalerii dobiegło końca w maju 1944 r. w Trościańcu na terenie Ukrainy. Początkowo liczebność tego związku taktycznego wynosiła 3025 ułanów, z czasem wzrosła do 3500. Dowództwo nad Brygadą sprawował sowiecki oficer – płk Władimir Radziwanowicz.

W sierpniu 1944 r. 1. WSBK przydzielono pod względem organizacyjnym do 1. Armii Wojska Polskiego gen. Zygmunta Berlinga. Na podkre-

ślenie zasługuje fakt, że większość żołnierzy Brygady pamiętało kampanię polską 1939 r. Brakowało jednak oficerów – wielu z nich, po tym jak dostało się do sowieckiej niewoli,



Ułani 1. Warszawskiej Samodzielnej Brygady Kawalerii po walkach o Wał Pomorski, marzec 1945 r.

FOT. ARCHIWUM

skończyło tragicznie w Lesie Katyńskim.

Kawalerzyści reprezentowali tradycje takich przedwojennych formacji, jak: 19. Pułk Ułanów Wołyńskich, 21. Pułk Ułanów Nadwiślańskich, 6. Pułk Ułanów Kaniowskich, 9. Pułk Ułanów Małopolskich, 12. Pułk Ułanów Podolskich, 14. Pułk Ułanów Jazłowieckich, 23. Pułk Ułanów Grodzieńskich oraz 2. i 3. Pułk Strzelców Konnych.

W skład 1. WSBK weszły: 2. i 3. Pułk Ułanów, 4. Dywizjon Artylerii Konnej, dywizjon szkolny, 8. Bateria Przeciwlotnicza, 12. Szwadron Saperów oraz służby. Po osiągnięciu go-

mach 1. Frontu Białoruskiego marsz. Gieorgija Żukowa, obrała kierunek na Poznań i Kostrzyn nad Odrą. Część ataku, tzw. uderzenie pomocnicze, skoncentrowano na kierunku bydgoskim.

Dnia 17 stycznia 1. AWP (w tym też 1. WSBK) wkroczyła do zrujnowanej Warszawy. Następnie polską armię skierowano przez Toruń do Bydgoszczy, aby zlikwidować ok. 50-km lukę między dwoma sowieckimi Frontami (2. Front Białoruski operował na kierunku północnym). Do miasta nad Brdą polscy żołnierze

niez w fortece – opisywał sytuację na froncie 2 lutego 1945 r. gen. Bolesław Kieniewicz, dowodzący 4. Dywizją Piechoty.

Zasadnicze boje o przełamanie Wału Pomorskiego, szczególnie krwawe m.in. pod Zdbicami, Nadarzycami, Dobrzycą i Mirosławcem – zakończyły się 12 lutego. Na mocy kolejnego rozkazu rozpoczęto walkę o tzw. pozycję ryglową, która blokowała drogę na Czaplonek i Kołobrzeg.

1. AWP miała sforsować obronę Wehrmachtu na linii: Czochryń – Dobrzyca Mała – Borujsko – Orla.

” Przez lornety polowe widać było bunkry betonowe, umocnione linie okopów, silne gniazda ogniowe, lufy armat. Szczególnie silnie umocnione były przejścia między jeziorami, chociaż i wewnętrzne brzegi jezior zamienione zostały w fortece



Ułani 1. Warszawskiej Samodzielnej Brygady Kawalerii w drodze na Wał Pomorski FOT. ARCHIWUM

towości bojowej Brygada została skierowana do Chełma, gdzie – jak głosiła sowiecka propaganda – 22 lipca 1944 r. ogłoszono Manifest PKWN (w rzeczywistości uczyniono to wcześniej w Moskwie). Następnie 15 sierpnia, w Święto Żołnierza, ułani przedefilowali w Lublinie przed obliczem Bolesława Bieruta. Upłynął jeszcze miesiąc, zanim Brygada rozpoczęła swój szlak bojowy, wchodząc do walki na przyczółku warecko-magnuszewskim.

Ofensywa wiślańsko-odrzańska

Do połowy stycznia 1945 r. rozpoczęły się dwie ofensywy Armii Czerwonej na ziemiach polskich: wiślańsko-odrzańska oraz wschodniopruska. Pierwsza z nich, w której uczestniczyła 1. AWP walcząca w ra-

rze dotarli pod koniec stycznia.

Następnie armia dowodzona przez gen. Stanisława Popławskiego (funkcję głównodowodzącego pełnił od 1 stycznia 1945 r.) otrzymała rozkaz przełamania niemieckiej linii umocnień, tzw. Wału Pomorskiego, powstałego w latach 1934–1936, rozbudowanego w 1944 r. System fortyfikacji rozciągał się na szerokości ok. 270 km. – *Udałem się osobiście na zwiad i stwierdziłem, że cała linia jezior, jaką mieliśmy przed sobą, jest nadzwyczaj silnie ufortyfikowana. Przez lornety polowe widać było bunkry betonowe, umocnione linie okopów, silne gniazda ogniowe, lufy armat. Szczególnie silnie umocnione były przejścia między jeziorami, chociaż i wewnętrzne brzegi jezior zamienione zostały rów-*

Walki o niemiecką rubież rozpoczęły się 13 lutego. Polskie dywizje (głównie 1. i 2.) nie zdobyły jednak niemieckich umocnień. Najbardziej zacięte boje toczono o Borujsko; ataki ponawiano, ale nieprzyjacielska obrona – 5. Lekka Dywizja Piechoty – skutecznie się broniła. W końcu zluzowały ją świeżo przybyłe oddziały 163. Dywizji Piechoty, dowodzonej przez gen. por. Karla Rübela.

Walki pod Borujkiem

To właśnie pod Borujkiem (Schönfelde), wsią położoną ok. 5 km na północ od Mirosławca, doszło niebawem do kluczowych dla dalszego rozwoju sytuacji wydarzeń. Rejon był dobrze umocniony, obronie sprzyjało ukształtowanie terenu – pod-

mokłe pola i wzniesienia, a przeprawę sprzętu ciężkiego dodatkowo utrudniała gęsta sieć rowów przeciwczołgowych, okopy, zasieki z drutu kolczastego oraz liczne pola minowe.

Niemcy bronili się w pasie Borujsko – Żabin – Wierzchowo. Po przełamaniu obrony nieprzyjaciela dowództwo planowało natarcie na Złocieniec i Białogard. Polacy zajęli pozycje już ostatniego dnia lutego, w przeddzień ataku.

Nazajutrz, rankiem, po przygotowaniu artyleryjskim i lotniczym (4. Mieszana Dywizja Lotnicza), po raz pierwszy próbowano sforsować silnie ufortyfikowane pozycje wroga. Niemcy, a konkretnie 163. DP, sprawnie bronili się w oparciu o schrony bojowe. Ataki na wieś, dokonywane siłami 2. Dywizji Piechoty, nie przyniosły zamierzonych efektów.

Dowództwo 1. AWP rzuciło do boju także 1. DP oraz część sił 6. DP (14. pułk piechoty), ale bez rezultatów. Wojska polskie odniosły jedynie lokalne sukcesy – poza głównym kierunkiem natarcia udało się opanować rejony jeziora Drawienko oraz Smolnych Gór. W większości przypadków jednak zapora ogniowa niemieckich karabinów maszynowych i moździerzy okazała się nie do przejścia.

W tej sytuacji, przed godz. 15, gen. Popławski rzucił do walki po batalionie czołgów i piechoty zmotoryzowanej, wspierając je ogniem artylerii pancernej. Głównodowodzący podjął też decyzję o użyciu w walce oddziałów konnych z 1. WSBK. Ta, zanim była gotowa do ataku, przeszła przez Podgaje, Jastrowie, Wielboki i Sośnicę. Ostatniego dnia lutego zajęła pozycje w lesie, ok. 5 km na wschód od Borujkska.

Grupa bojowa w natarciu

Do ataku dowódca 1. AWP wyznaczył specjalną grupę bojową, w skład której weszły dwa szwadro-

ny 3. Pułku Ułanów oraz bateria 4. Dywizjonu Artylerii Konnej. Ogólną komendę objął nad nią mjr Walerian Bogdanowicz, natomiast kawalerią dowodził weteran wrześniowych bojów 1939 r. – por. Zbigniew Starak.

Grupa bojowa miała wesprzeć kolejne natarcie piechoty i sił pancernych, ale też samodzielnie wykonywać działania zaczepne. Atak całości sił rozpoczął się około godz. 16. Początkowo szwadrony kawalerii posuwały się naprzód skryte za dwudziestoma czołgami T-34.

Teren, który pokonywano w pierwszej fazie natarcia, był niemal całkowicie pozbawiony przeszkód naturalnych. Dopiero po jakimś czasie część polskich sił, w szczególności

Por. Zbigniew Starak – weteran wrześniowych bojów 1939 r. – dowodził kawalerią pod Borujkiem FOT. ARCHIWUM

Szable w dłoń! Do szarży!

– Prawie nikt z oficerów ani podoficerów nie wierzył w powodzenie szarży. Wszak pole rozciągające się w kierunku Borujkska było pod ostrzałem artylerii i broni maszynowej, a ponadto wysunięci do przodu przed przedni skraj obrony siedzieli



Oficerowie 1. Warszawskiej Samodzielnej Brygady Kawalerii, styczeń 1945 r. FOT. ARCHIWUM

czołgi, utknęła w grzęzawiskach. Sytuację utrudniał ostrzał polskich sił od strony Borujkska. W związku z tym por. Starak podjął decyzję o szarży. Zamierzano najpierw przedostać się na wschodni skraj wsi, gdzie znajdował się zalesiony jar. Stamtąd planowano przeprowadzić finalny atak na wieś. Liczono na zaskoczenie przeciwnika.

w dołkach, ułożonych w szachownicę, strzelcy niemieccy z pancernofaustami. Zdawało się, że nawet przysłowiowa mysz się nie prześlizgnie – piszą Cezary Leżeński i Lesław Kukawski w książce „O kawalerii polskiej XX wieku”.

Mimo obaw polskiego dowództwa, atak zakończył się całkowitym sukcesem. Na Niemców szarżowało

łącznie od 150 do 220 ułanów (zróżnicowane dane), którzy pokonali dystans ok. 2 km. Po wyprzedzeniu linii polskich czołgów, a następnie osiągnięciu zagajnika, kawaleria w galopie zaatakowała wysunięte stanowiska wroga. Zdezorientowani Niemcy ratowali się ucieczką, porzucając wcześniej stanowiska ogniowe.

Następnie ułani, już w szyku pieszym, przy wsparciu piechoty i czołgów zaatakowali oddaloną o nie więcej niż 200 m wieś. Główne siły skierowano w rejon miejscowego kościoła oraz na główną ulicę. Walki trwały też kilkaset metrów za Borujskiem, gdzie Niemcy bronili dostępu do lotniska polowego. Polacy zdobyli je po ciężkim boju w godzinach wieczornych. Sukces był całkowity, siły przeciwnika uległy rozbięciu.

W boju poległo 7 ułanów, 10 odniosło rany. Łączne straty nacierającej w ciągu dnia na wieś 2. DP wyniosły 124 zabitych i 254 rannych, a 1. Brygady Pancerniej – 16 zabitych i 30 rannych. Ucierpiały cztery czołgi, w tym jeden uległ spaleni. Po stronie niemieckiej było ok. 500 poległych. Do polskiej niewoli dostało się 50 żołnierzy Wehrmachtu; nieprzyjaciel stracił też 4 działa.

Ostatnia taka szarża

Choć szarża z 1 marca 1945 r. uchodzi za ostatni tego rodzaju atak w historii polskiej kawalerii, wśród badaczy nie ma co do tego całkowitej pewności. O tym, że po boju pod Borujskiem polscy ułani szarżowali jeszcze dwukrotnie na terenie Niemiec, 21 kwietnia pod Heckelbergiem i Grunthal, wspomina Cezary Leżeński w książce „Ostatnia szarża”. Z pewnością atak konny pod Borujskiem był ostatnią tak dużą szarżą w dziejach polskiej jazdy, tj. przeprowadzoną siłami dwóch szwadronów.

Jak przebiegał dalszy szlak bojowy 1. WSBK? Po zwycięskiej bitwie wzięła udział w walkach o Gryfice,

po czym jej delegacja uczestniczyła w uroczystych zaślubinach Polski z morzem w Mrzeżynie. W kwietniu 1945 r. 1. WSBK zajmowała pozycje obronne wzdłuż brzegów rzeki Dziwna i Zalewu Szczecińskiego. Osiągnęła północne przedmieścia Berlina, a następnie przeszła w okolice Łaby, kończąc tym samym swój szlak bojowy. W dniu 15 maja 1945 r., rozkazem Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego, przeformowano 1. Warszawską Samodzielną Brygadę Kawalerii na 1. Warszawską Dywizję Kawalerii. Istniała ona do 1947 r.

„ Prawie nikt (...) nie wierzył w powodzenie szarży. Pole rozciągające się w kierunku Borujska było pod ostrzałem artylerii i broni maszynowej, a wysunięci do przodu przed przedni skraj obrony w dołkach, ułożonych w szachownicę siedzieli strzelcy niemieccy z pancerfaustami

Zapomniany bój

Walki 1. AWP pod Borujskiem, a w szczególności szarża polskich ułanów, praktycznie nie istnieją dziś w świadomości społecznej, a wpływ na taki stan rzeczy miały różne względy. Świetne tradycje polskiej kawalerii konsekwentnie pomijano w czasach Polski Ludowej, rozpowszechniając w zamian wylansowany jeszcze przez niemiecką propagandę mit polskiej jazdy atakującej szabłami niemieckie czołgi. Choć 1. WSBK walczyła w składzie Ludowego Wojska Polskiego, które bezpośrednio podlegało dowództwu Armii Czerwonej, także ułani spod

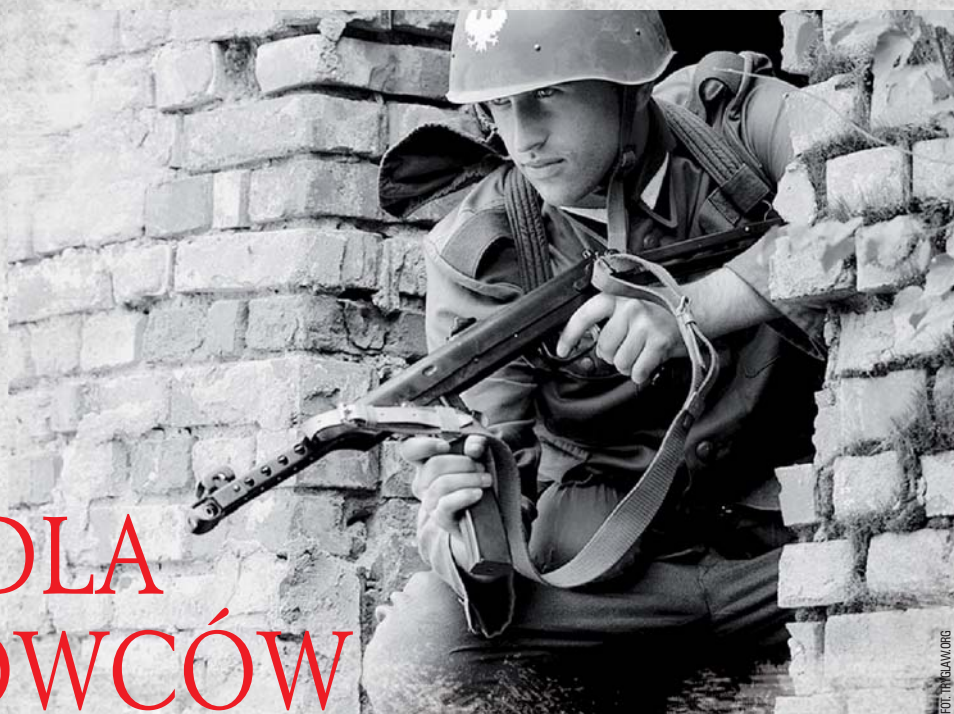
Borujska, w większości pamiętający walki w kampanii polskiej 1939 r. – nie byli bohaterami w PRL.

– *Losy Brygady są znane jedynie historykom i nielicznej grupie pasjonatów. Wynika to między innymi z zacieklego dyskredytowania przedwojennej tradycji kawaleryjskiej. Po wojnie przedstawiano kawalerię jako archaiczne i wręcz operetkowe wojsko krytykowanej II Rzeczypospolitej. Nie bez znaczenia jest również fakt, iż 75% składu Brygady to przedwojenni kawalerzyści świadomi tradycji i etosu tej elitarnej formacji. Podkreśla to napis na glazie upamiętniającym szarżę: „Borujsko 1 marca 1945 r. Ostatnia zwycięska szarża Ostatnich ułanów Rzeczypospolitej” – tłumaczy Robert Pawlak z Grupy Rekonstrukcji Historycznej „Borujsko”.*

Grupa, której nazwa nawiązuje do ostatniej szarży polskiej kawalerii, kultywuje tradycje oręża polskiego, poczynawszy od walk w kampanii polskiej 1939 r., po boje Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, podziemia niepodległościowego oraz 1. i 2. Armii Wojska Polskiego. – *Szczególnie jest nam bliska historia 12. Pułku Ułanów Podolskich jako jednostki walczącej we wrześniu 1939 r., a następnie odtworzonej w ramach Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Jej udział w walkach 2. Korpusu Polskiego we Włoszech, a szczególnie w bitwie o Monte Cassino, jest dla nas powodem do dumy. Tym bardziej że mieliśmy zaszczyt wziąć udział w uroczystych obchodach 70. rocznicy zdobycia klasztoru – tłumaczy członek Grupy Rekonstrukcji Historycznej „Borujsko”. Jak podkreśla, odtworzenie historycznych oddziałów Wojska Polskiego, a także liczne działania edukacyjne i popularyzatorskie, mają jeden główny cel: uczcić wszystkich polskich żołnierzy walczących o niepodległość na różnych frontach II wojny światowej. ■*

PPS

– PEEM DLA ZWIADOWCÓW



Skonstruowany przez Aleksieja Iwanowicza Sudajewa PPS wz.1943 w założeniu miał być niezbyt wyrafinowanym, nieskomplikowanym w obsłudze i przede wszystkim bardzo tanim w produkcji pistoletem maszynowym dla mas. Podczas wojny broń ta pozostała w cieniu pepeszy, ale później służyła przez pół wieku w armiach wielu krajów i produkowana była znacznie dłużej niż PPSz wz.1941.

Opisywana w poprzednim wydaniu naszego biuletynu pepesza była najsłynniejszym sowieckim peemem II wojny światowej. Ważyła prawie 5,5 kg i miała niemal 85 cm długości oraz stałą, drewnianą kolbę – pomagającą podczas walki wręcz, ale ograniczającą poręczność. Wielka szybkostrzelność teoretyczna sięgająca 1000 strz./min miała swoje zalety i wady, życie utrudniała konieczność indywidualnego pasowania magazynków bębnowych. PPSz wz.1941 sprawdził się dobrze jako frontowa broń piechoty, lecz oprócz niej byli jeszcze czołgiści, kierowcy, motocykliści, spadochroniarze, zwiadowcy, narciarze, saperzy, łącznościowcy, artylerzyści, obsługa ciężkich karabinów maszynowych itp. A oni wszyscy potrzebowali peemu krótszego i lżejszego, o zwartej konstrukcji i mniejszej szybkostrzelności.

Do wyprodukowania jednej pepeszy Sowieci potrzebowali 13,9 kg

stali oraz 7,3 roboczogodziny, co było bardzo przyzwoitym osiągnięciem w czasach, zanim tłoczone z blachy pistolety maszynowe zdominowały świat i wyparły te misterne konstrukcje, rzeźbione w bloku metalu. Wojna wymagała jednak jeszcze mocniejszego zaciskania pasa i technologia PPSz wz.1941 – wprawdzie niezwykle oszczędna w porównaniu z PPD wz.1940 – także musiała zostać jeszcze trochę uproszczona.

W styczniu 1942 r. rozpisano więc konkurs na nowy peem zwany „specjalnym”, który miał być uzupełnieniem pistoletu maszynowego PPSz wz.1941, określanego jako „frontowy”. W założeniach podano m.in., że broń ma mieć masę własną nie większą niż 3 kg i szybkostrzelność teoretyczną 400–500 strz./min. Duży nacisk położono na technolo-

giczność konstrukcji: większość części należało tłoczyć

z blach o grubości najwyżej 3,3 mm, a wytworzenie jednego egzemplarza miało zająć nie więcej niż 3,5 roboczogodziny przy ograniczeniu strat materiału góra do 50% wyjściowej masy stali. Ogłoszono też bezwzględny zakaz stosowania drogich materiałów – stali stopowych i metali lekkich.

Do konkursu przystąpiły między innymi takie sławy konstruktorskie, jak Diegtiarow, Korowin, Rukawisznikow i Szpagin, a obok nich wystartowali też młodzi adepci two-



rzenia broni: Bezruczko-Wysocki, Kałasznikow i Sudajew.

Od armat do peemów

Aleksiej Iwanowicz Sudajew urodził się w 1912 r. w Ałatyrze nad Wołgą, w Republice Czuwaskiej. Ukończył zawodówkę i rozpoczął pracę ślusarza w fabryce, a że był zdolny – skierowano go na dalszą naukę w technikum kolejowym. W 1943 r. dostał powołanie do Armii Czerwonej, gdzie trafił do służby uzbrojenia. Tam dostrzeżono po raz kolejny jego talent: smykalka do broni zwróciła uwagę przełożonych, którzy załatwili mu przedterminowe zwolnienie z wojska, by mógł pójść na kurs wyrównawczy na Politechnice Gorkowskiej, po którym rozpoczął studia na elitarniej Akademii Artyleryjskiej im. Feliksa Dzierżyńskiego. W 1941 r. został inżynierem-porucznikiem, kończąc uczelnię z wy-



Broń z kolbą w położeniu marszowym, ułożoną na grzbiecie pokrywy komory zamkowej; peem jest bardzo zwarty i z kolbą złożoną ma tylko 61,5 cm długości FOT. WOJCIECH WEILER

różnieniem. Pracując jako konstruktor artyleryjski, okazał się wybitnym specem od upraszczania technologii, co potem przydało mu się przy tworzeniu dzieła życia – pistoletu maszynowego PPS. Sudajew zmarł na raka płuc niecały tydzień przed swoimi 34. urodzinami.

Konkurs

Próby nowych peemów rozpoczęły się 25 lutego 1942 r. i potrwały do 5 marca. Prototyp Szpagina

odpadł w przedbiegach, broń zaproponowana przez Diegtiariowa sprawowała się wyśmienicie: uznano ją za najlepszą konstrukcję pierwszej tury konkursu. Bezruczko-Wysocki zaproponował obiecujący pistolet maszynowy o układzie ogólnym niemieckiego MP40: łukowy magazynek zainstalowano u dołu, do tego tylny chwyt pistoletowy i dwuramienna kolba składana. Wystąpiły jednak problemy z niezawodnością działania i przygotowaniem technologii produkcji.

Drugą turę testu przeprowadzono od 26 kwietnia do 12 maja – i w niej właśnie pojawił się pierwszy prototyp autorstwa Sudajewa. Konstruktor przeanalizował broń Bezruczki-Wysockiego i na jej bazie stworzył własny peem, znaczenie lepiej dopracowany. Rosjanie bowiem od dawna kolektywnie budowali broń i bardzo wiele znanych konstrukcji powstało drogą uzupełniania jednego modelu udanymi pomysłami zaczerpniętymi od innych projektantów: Sudajew nigdy nie wypierał się związków konstrukcji swoich i Bezruczki-Wysockiego.

Peem Sudajewa działał na zasadzie wykorzystania energii odrzutu zamka swobodnego i strzelał z zamka otwartego, a zasilany był z 35-nabojowego magazynka łukowego na amunicję 7,62 mm x 25 P-30. Otwarta od spodu, perforowana osłona lufy była przedłużeniem pokrywy komory zamkowej, umocowanej zawiasem do komory spustowej. Podstawę muszki osłaniały blaszane uszy, przechodzące w urządzenie wylotowe, będące jednocześnie kompensatorem podrzutu i hamulcem wylotowym, ukształtowane z tego samego kawałka blachy. Rączkę zamkową umieszczono po prawej stronie, sprężyna powrotna była równocześnie sprężyną uderzeniową, mechanizm spustowy nie miał przełącznika rodzaju ognia i umożliwiał tylko strzelanie seriami. Łuski wylatywały pionowo do góry jak w pe-

peszy, a szybkostrzelność teoretyczna wynosiła 500–600 strz./min. Broń miała długość niespełna 65 cm z kolbą złożoną i niecałe 91 cm z rozłożoną, ważyła tylko 2,95 kg. Bardzo ciekawy był bezpiecznik: wykonany z grubej blachy pasek górnym końcem umieszczony w komorze zamkowej blokował zaczep zamkowej i jednocześnie unieruchamiał zamek w przednim lub tylnym położeniu. Obsługiwany był językiem wystającym obok kabłąka u dołu i uformowanym z tego samego kawałka blachy.

Peem dobrze wypadł w testach, ale konstruktorowi zalecono poprawki bezpiecznika (bo zdarzały się wypadki mimowolnego odbezpieczenia broni przy padaniu żołnierza zajmującego stanowisko ogniowe w okopie) oraz kilka innych zmian. Kolejna, trzecia tura prób odbyła się od 9 do 13 czerwca 1942 r. i wzięły w niej udział już tylko trzy peemy: udoskonalone konstrukcje Bezruczki-Wysockiego, Sudajewa i Szpagina, który zaskoczył wszystkich, przedstawiając zupełnie nowy prototyp PPSz-2. Wygrała broń Aleksieja Sudajewa i 28 lipca została przyjęta do uzbrojenia jako 7,62 mm pistolet maszynowy Sudajewa wzór 1942 rpk (7,62 mm pistolet-puliemiot sistemy Sudajewa obrazca 1942 goda) – PPS wz.1942.

Poprawki w obłożonym Leningradzie

Niska materiałochłonność i szerokie zastosowanie oszczędnościowych technologii (tłoczenia na zimno na lekkich prasach o nacisku 50 ton, nitowania i zgrzewania punktowe) sprawiły, że PPS wz.1942 był peemem wręcz idealnym do produkcji w ciężkich warunkach wojennych: na jeden pistolet maszynowy zużywano tylko 6,2 kg stali i 2,7 roboczogodziny! Produkcję zlecono zakładom w Siestroriecku, ale zanim się rozpoczęła – front podszedł

pod mury fabryki i należało ją ewakuować do Leningradu. Tutaj w grudniu 1942 r. powstały pierwsze seryjne egzemplarze, a w styczniu roku następnego produkcja ruszyła pełną parą i ostatecznie zamknęła się liczbą 46 572 sztuk PPS wz.1942.

Tymczasem Aleksiej Sudajew, głodując w oblężonym Leningradzie, wciąż pracował, myśląc, co by tu jeszcze w swej broni poprawić. Zmienił urządzenie powrotne i wyrzutnik oraz kształt bezpiecznika, skrócił o prawie 2 cm lufę, poprawił kolbę i jej zawias, ulepszył urządzenie wylotowe i osłonę lufy, przesunął trochę okno wyrzutowe i teraz łuski nie wylatywały już pionowo, lecz ukośnie do góry i w prawo. Zmodyfikowana broń – PPS wz.1943 – ważyła 3,04 kg i mierzyła 61,5 cm z kolbą złożoną oraz 82 cm z rozłożoną. Do końca wojny powstało ponad pół miliona nowych peemów.

Kopie zagraniczne

Po wojnie wytwarzania PPS w ZSRR już nie wznowiono: licencję przekazano do Polski, a linia produkcyjna z Siestroriecka trafiła do Chin, gdzie broń na niej powstająca nazywano Typ 43. Peemy Sudajewa produkowano także w Korei Północnej.

Podczas II wojny światowej, w 1944 r. w fińskiej fabryce w Tikkakoski rozpoczęto produkcję własnej wersji PPS, nazwanej kp/44 – strzelającej nabojem 9 mm x 19 Parabellum i zasilanej z magazynka od pistoletu maszynowego Suomi. Łącznie powstało ok. 10 400 szt. kp/44, które służyły w Siłach Pokojowych ONZ oraz żołnierzom fińskim i strażnikom granicznym aż do 1991 r.

Po wojnie w hiszpańskim Arsenale Oviedo produkowano kopię kp/44 pod nazwą DUX-51. W 1954 r. zachodniemiecka Straż Graniczna i Policja Celna zakupiły 1000 sztuk tych peemów, nazwanych tam DUX-53. Planowano rozwój, przekonstruowanie i ulepszenie, a nawet produkcję krajową, ale ostatecznie



Przysięga wojskowa w latach 60. Żołnierze uzbrojeni są w polskie peemy wz.43/52 ze stałą kolbą drewnianą, produkowane w Zakładach Mechanicznych im. Hipolita Cegielskiego w Poznaniu i Zakładach Metalowych im. gen. Waltera w Radomiu. FOT.ARCHIWUM

nic z tego nie wyszło i zakończyło się na prototypie oznaczonym DUX-59.

PPS w Wojsku Polskim

Peemy Sudajewa były najliczniej produkowanymi licencyjnymi pistoletami maszynowymi w Polsce. Na wyposażeniu jednostek drugiego rzutu i pomocniczych pozostały aż do końca lat 80. Stanowiły też podstawową broń maszynową w Milicji Obywatelskiej, Straży Ochrony Kolei, Służbie Więziennej i Straży Przemysłowej.

Pierwsi Polacy, do których trafiły PPS wz.1942 i wz.1943, to żołnierze z 1. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR, służący w Polskim Samodzielnym Batalionie Specjalnym (PSBS) – spadochronowo-desantowej jednostce dywersyjno-rozpoznawczej przeznaczonej do walki na tyłach wroga, oraz lewicowi partyzanci wspierani przez ZSRS. Od kwietnia do końca sierpnia 1944 r. do PSBS trafiło 295 tych pistoletów maszynowych, oprócz tego w ramach sowieckich zrzutów do oddziałów konspiracyjnych dostarczono 1380 sztuk.

Bezpośrednio po zakończeniu wojny rozpoczęto odbudowę polskiego przemysłu zbrojeniowego. Pierwsze PPS wyprodukowane w poznańskim Zakładzie Przemysłowym Hipolita

Cegielskiego 28 października 1946 r. zostały wręczone m.in. marsz. Michałowi Roli-Żymierskiemu i ministrowi przemysłu Hilaremu Mincowi.

Broń sowieckiej w magazynach było jednak tyle, że produkcję na masową skalę podjęto w Polsce dopiero w połowie 1951 r. PPS wz.1943 powstawały równocześnie w czterech miejscach: w Zakładach Mechanicznych im. Hipolita Cegielskiego w Poznaniu, w Zakładach Metalowych im. gen. Waltera w Radomiu, w Widzewskiej Fabryce Maszyn Włókienniczych „Wifama” w Łodzi oraz na Wydziale Mechanicznym Huty „Baildon” w Katowicach. Łącznie do końca 1951 r. powstało 50 tys. PPS wz.1943, w 1952 r. było już ich 110 tys., a w 1953 – 125 tys.

Żeby peem lepiej dostosować do potrzeb piechoty i umożliwić jego wykorzystanie do walki wręcz, zastępując tym samym znacznie droższą w produkcji pepeszę (która powstawała tylko w Radomiu) – PPS wyposażono w drewnianą, stałą kolbę. Broń przyjęto do uzbrojenia jako 7,62 mm pm wz.43/52. W połowie 1952 r. ruszyła produkcja w Poznaniu, a w grudniu także w Radomiu. Katowice i Łódź nadal wytwarzały tylko wariant pierwotny, z kolbą składaną. ■

Spotkanie przy ognisku

Zdzisława Wójcik, nauczycielka gimnazjum i liceum osiedla Tengeru, obchodziła w tym roku 26 stycznia setną rocznicę urodzin.

Harc mistrzyni, komendantka Harcerstwa Polskiego w Afryce podczas II wojny światowej, została mianowana na to stanowisko przez prof. Stanisława Kota, ministra rządu gen. Władysława Sikorskiego.

Po wojnie w 1947 r. wyjechała do Kanady i pracowała w Departamencie Botaniki na uniwersytecie w Toronto, a pod koniec 1948 r. powróciła do Polski. Zajmowała się pracą redakcyjną i naukową w zakresie botaniki i ekologii. W tym samym czasie uzyskała najwyższy stopień naukowy – doktora habilitowanego.

Ponieważ zajmowała się wychowaniem młodzieży w Afryce, a w szczególności harcerskiej według zasad „Mam szczerą wolę służyć Bogu i Polsce”, po powrocie do kraju ani w szkołach średnich, ani na uniwersytecie nie dopuszczano jej do pracy z młodzieżą.

Jako komendantka w 1944 r. wizytowała wszystkie polskie osiedla w Afryce Wschodniej i w obu Rodezjach (Zimbabwe i Zambia), jak sobie dają radę drużyny harcerskie.

Byłem wówczas przybocznym drużynowego w osiedlu Ifunda – tam poznałem druhnę Zdzisławę Wójcik i kiedy mnie spytała, ile mam lat, odpowiedziałem: piętnaście, a ona uśmiechnęła się i powiedziała: a ja akurat podwójnie.

Kilka miesięcy później pojechałem do osiedla Tengeru, gdzie drużyna Zdzisława była pedagogiem w gimnazjum i liceum tego osiedla i uczyła w mojej klasie geografii.

Cały czas pozostawałem bez przydziału, bo wszystkie stanowiska w pra-



cy harcerskiej były już obsadzone i pozostałem w cieniu, nikt się specjalnie mną nie interesował. W szkolne wakacje wyjeżdżaliśmy na obozy harcerskie organizowane przez druhnę Wójcikównę i przez hm. Janka Barycza i po którymś tam z kolei ktoś mnie wreszcie zauważył i po powrocie do osiedla na polanie, przy alei eukaliptusowych drzew, poproszono mnie, jako uczestnika tego obozu, na zapalenie obozowego ogniska. Od tej pory w przyspieszonym tempie zacząłem uzyskiwać stopnie harcerskie i liczyłem, że wreszcie zostaną mianowany na drużynowego.

Nieco później spotkałem druhnę Zdzisławę w Izbie Harcerskiej, poprosiła mnie, biorąc mnie pod rękę, żebyśmy poszli na spacer. Idąc w kierunku góry Meru (siostrzanej góry Kilimandżaro), u podnóża której położone było nasze osiedle, zaproponowała mi wieczorową pracę „światliczarza” i prowadzenia Izby Harcerskiej, a w szczególności zwrócenia uwagi i uporządkowania biblioteki, jak również zwiększenia ilości książek, które będą uważał, ażeby się w niej znalazły.

Pamiętam druhnę jako osobę wyjątkowo skromną, pogodną i wyrozumiałą, która zawsze pracowała na zapleczu i nie pchała się na pierwsze miejsce. Nigdy nikogo nie ukarała i nie

skarciła i zawsze znalazła jakieś usprawiedliwienie – nawet wtedy, kiedy ktoś kogoś skrzywdził czy próbował to zrobić.

Zaowocowało to tym, że wiele harcerek i harcerzy w późniejszych latach brało ją za wzór do naśladowania.

Z jej otoczenia mieliśmy na emigracji, a między innymi w Anglii, Ameryce, w Australii i innych krajach, instruktorki harcerskie, które brały udział w wychowaniu następnych pokoleń Polaków o najwyższych walorach etycznych, moralnych i patriotycznych.

Minęło już kilkadziesiąt lat, i widzę druhnę jak to by było wczoraj, jak stoję na poboczu trasy, którą idzie na obozowy „capstrzyk”. Kilkuset harcerzy i harcerek z zapalonymi pochodniami, drużyna za drużyną, a na szarym końcu tego pochodu maszeruje nasza komendantka.

Kochana Drużyno, harcerki i harcerze rozsiani po całym niemal świecie. Twoi byli wychowankowie w szkole i w harcerstwie dziękują Ci za wszystko, co dla nas zrobiłaś, serdecznie Cię pozdrawiają i życzą Ci wszystkiego najlepszego z okazji Twoich setnych urodzin, na dalszej drodze Twojego życia.

Czuwaj, Drużyno!

Ryszard Lange
Stockport, England

